Siwerniak

Numer 3(41) Biuletyn informacyjny SKPB Lublin Lipiec 2010

Już przeszło pół roku upłynęło od poprzedniego numeru naszego Biuletynu. Mamy nadzieję, że to, co udało nam się przygotować w przeciągu minionych siedmiu miesięcy przypadnie do gustu Szanownym Czytelnikom i każdy z Was znajdzie tutaj choćby kilka stron, które na dłużej przyciągną jego uwagę. Zapraszamy do lektury!

Redakcja

TUtaj i tam:

Łukasz Bajda
Żydzi w Łańcucie……...……....1

Michał Rzędzian
Cerkiew w Rychwałdzie – Owczarach……...…....5

Anna Śliwa
Aktywność kulturalna Łemków z województw małopolskiego i podkarpackiego po 1989 r……...…….10

Krystyna Wnuk
Cmentarz wojenny nr 51 na Rotundzie nad Regietowem Niżnym jako przykład twórczości Dušana Jurkoviča w Beskidzie Niskim ……..……...…16

Do poczytania

Bartosz Jemioła
Apteczka Wędrownika, czyli zioła pierwszej pomocy na szlaku…….....21

Zauważono na półce…….....25

Relacje z wypraw i wycieczek

Katarzyna Jagiełło, Łukasz Bajda
Rumunia AD 2009……....……....26

Działalność koła

Rajd Pogórza (19 – 21.03.2010)……...35
Rajd Nadbuże (10 – 11.04.2010)…….....37
XLIV Rajd Bieszczady (29/30.04 – 3.05.2010)....…….....37
Zebranie walne ……...…….37

TUtaj i tam

Łukasz Bajda

Żydzi w Łańcucie

Dokładna data powstania Łańcuta nie jest niestety znana. Pierwsza wzmianka potwierdzająca istnienie miasta pochodzi z 1378 r. i dotyczy klasztoru Dominikanów. Wobec braku odpowiednich dokumentów przyjmuje się, iż Łańcut lokowany był za czasów Kazimierza Wielkiego, pomiędzy 1350, a 1370 r. Niedostatek źródeł historycznych utrudnia również rozstrzygnięcie kwestii, kiedy pojawili się w Łańcucie Żydzi. Możemy jednak przypuszczać, że pojedynczy przybyli jeszcze przed lokacją. Informacji dotyczących pierwszych Żydów w Łańcucie dostarcza nam księga ławnicza miasta Przemyśla. W zapisie z 1443 r. jest mowa o pewnej transakcji, zawartej przez mieszkańców Przemyśla z Żydami łańcuckimi Na terenie miasta znaleziono również fragment garnka z napisem hebrajskim, pochodzący najprawdopodobniej z przełomu XV/XVI w.[1]

Informacje o gminie żydowskiej pojawiają się dopiero w 1563 r. Jej członkowie przybyli do Łańcuta przypuszczalnie w ramach większej fali osadniczej, która objęła miasta Rusi Czerwonej w XVI w. Przeszkodą we wcześniejszym osiedlaniu się Żydów była niechęć łacińskiego duchowieństwa i niemieckiego patrycjatu do konkurencyjnej ekonomicznie oraz odmiennej religijnie narodowości. Przypuszcza się, że w Łańcucie również obowiązywał przywilej królewski *de non tolerandis Judeis*. W 1566 r. gmina łańcucka liczyła około 30 osób, nie odbiegała jednak pod względem liczebności od kahałów, powstałych w pobliskich miastach. Patrycjat miejski patrzył z niechęcią na rozszerzający się udział Żydów w handlu i wykup domów w mieście. W związku z protestami chrześcijańskich mieszkańców Łańcuta, właściciel miasta Krzysztof Pilecki wydał w latach siedemdziesiątych XVI w. dokument, który zakazywał Żydom posiadania domów oraz trudnienia się handlem i rzemiosłem. Zakaz ten został potwierdzony przez króla Zygmunta III Wazę w 1613 r. Pomimo tych ograniczeń, w 1624 r. liczebność gminy wynosiła już przeszło 100 osób. Najazdy tatarskie w XVII w. uczyniły znaczne spustoszenie wśród mieszkańców Łańcuta. W tym czasie działała tu zorganizowana gmina wyznaniowa, posiadająca drewnianą synagogę i kirkut. Od drugiej połowy XVII w. obserwujemy systematyczny wzrost liczby ludności żydowskiej w Łańcucie. Od 1667 r. nałożono nań obowiązek obrony miasta.

Po wielkiej zarazie w 1706 r. Żydzi zaczęli zasiedlać puste place i domy wokół rynku. Wcześniej domostwa były rozsiane po mieście i przy wale miejskim. W 1722 r. Stanisław Lubomirski, ówczesny właściciel Łańcuta, wydał przywilej zachęcający Żydów do osiedlania się tam. Na jego mocy Żydzi uzyskiwali wolność handlu i swobodę budowania nowych domów.

W 1733 r. spłonęła drewniana synagoga, którą wkrótce odbudowano. Dwadzieścia osiem lat później, na miejscu starej powstał nowy dom modlitwy, tym razem murowany. Za wydanie zgody na jego budowę biskup przemyski Wacław Sierakowski zażądał zapłaty, jednak Stanisław Lubomirski nie zgodził się na ingerowanie w wewnętrzne sprawy jego miasta.[2] Mało tego – Lubomirski dostarczył drewno na budowę synagogi i zezwolił również na wypalenie potrzebnej cegły w dworskiej cegielni.[3] Budowla ta zachowała się do dzisiaj. Obecnie w jej gruntownie odnowionym wnętrzu mieści się muzeum judaistyczne, a sam obiekt jest własnością Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego. Pod względem architektonicznym synagoga łańcucka jest raczej mało skomplikowana. Wybudowano ją na planie prostokąta.[4] Wnętrze podzielono na: przedsionek, modlitewnię i składzik, nad którym znajduje się pomieszczenie dla kobiet, do którego prowadzą schody z zewnątrz budynku. Wnętrze zdobi polichromia z 1912 r.. Oprócz polichromii uwagę przykuwają arkady z XVIII – XIX w., wypełnione tekstami modlitw. Bimę stanowią cztery kolumny o bogatych zdobieniach. Nad bimą znajduje się polichromia z 1906 r. ze scenami biblijnymi. Nad *aron ha – kodesz* umieszczono tablice dekalogu stanowiące jedyny element pozostały z dawnego, drewnianego wyposażenia, zniszczonego w wyniku

[1] Alina Skrzypczak, Żydzi w Łańcucie, Rzeszów 1990, s. 25.

[2] Andrzej Potocki, Żydzi w Podkarpackiem, Rzeszów 2004, s. 103.

[3] Marta Paterak, Budowle sakralne,w:, Łańcut. 650 lat rozwoju miasta, red. J. Malczewski, Łańcut 1999, s. 100 – 101.

[4] Alina Skrzypczak, op. cit., s. 46.

podpalenia synagogi przez Niemców we wrześniu 1939 r.[5]

Synagoga w Łańcucie

W synagodze łańcuckiej znajduje się również mała sala modlitw zwana „lubelską", która dawniej była również miejscem posiedzeń kahału i sądu rabinackiego. Nazwa pomieszczenia pochodzi od Jakuba Izaaka Horowitza (1745 – 1815) czyli Widzącego z Lublina, słynnego cadyka, który w latach dziewięćdziesiątych XVIII w., właśnie w Łańcucie zapoczątkował swoją działalność. Był on najwybitniejszym uczniem Elimelecha Weisbluma z Leżajska (1717 – 1786).

Zarówno Jakub Horowitz, jak i Elimelech Weissblum byli przedstawicielami chasydyzmu, nurtu w judaizmie, który ukształtował się w drugiej połowie XVIII w. na ziemiach polskich. Rozwijał się szczególnie na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Stąd rozprzestrzenił się na inne tereny Polski, a także Węgier, Czech i Rosji. Chasydyzm był w pewnym sensie formą protestu ubogich Żydów przeciwko wszechwładzy rabinów, przeciwko dogmatykom i surowej ascezie. Genezy tego prądu religijnego należy dopatrywać się w niebywale ciężkim położeniu ludności żydowskiej, żyjącej na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej. Duchowym twórcą chasydyzmu był Izrael Ben Eliezer z Międzyboża (1700 – 1760 lub 1761) zwany „Panem Dobrego Istnienia" (*Baal Szem Tow*, w skrócie *Beszt*). Głoszona przez niego nauka zakładała obecność Boga we wszystkich tworach na ziemi. Celem człowieka miało być połączenie się z nim przez żarliwą modlitwę, która u chasydów często graniczyła z ekstazą. *Beszt* uważał taka modlitwę za ważniejszą od studiowania Talmudu. Chasydyzm zachęcał do służenia Bogu z radością, przez śpiew, taniec, wesołe uczty świąteczne odrzucał natomiast surową ascezę. Ruch ten został potępiony przez talmudystów i rabinów, którzy widzieli w nim odejście od zasad prawdziwej wiary. Ogromną rolę w chasydyźmie odgrywała postać cadyka, czyli „sprawiedliwego". Był to człowiek głęboko religijny, o wyjątkowych walorach duchowych. Cadyk posiadął bardzo wysoki autorytet i wokół niego skupiały się wszystkie praktyki religijne w gminie. Chasydzi wierzyli, że jest on pośrednikiem między ludźmi, a Bogiem. Wraz z postępem nauki rozwinął się szczególny kult cadyków, również potępiony przez rabinów i talmudystów. Po śmierci *Izraela Ben Eliezera* jego uczniowie rozeszli się po całej Polsce. W prawie każdej gminie organizowała się grupa chasydów. Zazwyczaj nie uznawali oni miejscowego rabina, bo mieli własnego. Przyjmowali również osobnego rzezaka i jeździli na święta do cadyka. W istocie stanowili jakby odrębną gminę w gminie.

Łańcut na przełomie XVIII i XIX w. był ważnym ośrodkiem chasydyzmu. Chasydzi łańcuccy bardzo często zostawali rabinami w innych miastach w Polsce oraz za granicą. Również Elimelech Weissblum, zanim osiadł w Leżajsku, przebywał przez jakiś czas jako rabin w Łańcucie. Chasydyzm rozbudził zamiłowanie do tańca i pieśni. Dzięki temu Łańcut posiadał wielu dobrych i popularnych również poza miejscową gminą kantorów. Istnieli też w opisywanym mieście bardzo chętnie słuchani śpiewacy ludowi. Rozkwit chasydyzmu nastąpił w Łańcucie, gdy miasto zostało przyłączone do Cesarstwa Austriackiego.[6]

Od końca XVIII wieku zaznaczył się w mieście znaczny wzrost ludności żydowskiej, która w drugiej połowie XIX stulecia stanowiła już około 40% ogólnej liczby mieszkańców

W rodzinnym domu mojego taty w Łancucie, odnalazłem w skrzyni z przedwojennymi książkami, gruby zeszyt w twardej okładce, zawierający *Protokoły zgromadzeń plenarnych Sodalicji Marjańskiej młodzieży gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Łańcucie.* Lektura owych protokołów dostarcza garść informacji na temat stosunku łańcuckiej młodzieży do ludności pochodzenia żydowskiego. Chciałbym tutaj przytoczyć sprawozdanie z referatu kandydata Stanisława Pałysa pt. „Czy i jak winna Sodalicja podjąć walkę z żydostwem". Zaznaczam przy tym, że zachowałem orginalną pisownię.

[5] Andrzej Potocki, Żydzi w Podkarpackiem, s. 105.

[6] Alina Skrzypczak, „Żydzi w Łańcucie", Rzeszów 1990, s. 49 – 52.

Kand. Pałys St. stojąc, w słowach pełnych zapału do walki z żydostwem zwrócił uwagę zebranym na to, że Żydzi starają się zniszczyć katolicyzm, chcą zdemoralizować społeczeństwo. Czynią to przez pornograficzne kina, których wszędzie nie brak, mają wielki wpływ na dzisiejszą literaturę – w ogóle przyczyniają się do upadku moralności. Żydzi mają silną organizację, są solidarni i oni to niemalże wydarli katolikom przemysł i handel. Referent domaga się wprowadzenia „numerus clausus". Powinniśmy więc zapomnieć o różnicach, jakie nas katolików dzielą i stanąć solidarnie do walki z żydostwem. Powinniśmy przede wszystkim nie popierać Żydów, nie kupować w ich sklepach. Słyszy się, że Żydzi byli dobrymi obywatelami. Jednak tak nie jest, bo historja mówi co innego, że jest przeciwnie. Są wyjątki, ale ogół nigdy taki nie był, ani jest -. W dyskusji nad referatem zabrał głos najpierw sod. Pelc Zb., któremu nie podobało się nieścisłe wyrażenie kand. Pałysa, że w rękach Żydów znajduje się literatura. Następnie przemówił sod. Żyga Wł., który podkreślił, że należy bronić się przeciw Żydom. Należy umacniać w rodzinach moralność, należy wprowadzić szkoły wyznaniowe. Sod. Szpakowski zwrócił uwagę, że mylne jest zdanie kand. Pałysa, jakby Żydzi się asymilowali. To nie jest możliwe, bo Żydzi uważają siebie za naród wybrany i że zresztą temu sprzeciwia się Talmud. Wreszcie zabrał głos ks. Moderator: tak jak do wszystkich innych ludzi tak i do Żydów stosuje się zasadę miłości bliźniego. Nie wolno stosować wobec nich gwałtów. Społeczeństwo chrześcijańskie powinno dbać najpierw o swój własny dobrobyt, a względem Żydów stosować akt samoobrony, gdyż taki jest najskuteczniejszy.[7] Myślę, że właściwe będzie w tym miejscu zacytowanie owych metod „samoobrony". Sodalis Wojciech Kluz wygłosił pogadankę pt. *Samoobrona chrześcijańska*, w której wykazał że ... *Polska znajduje się w niewoli ekonomicznej Żydów. Żydzi znaczny procent ludności Polski, bo liczący 14%, zawładnęli handlem, przemysłem, bankami, w ich rękach spoczywa nagromadzona praca ludzka, kapitał. Trzeba koniecznie wypowiedzieć walkę groźnemu wrogowi, aby, który z roku na rok wzmaga się i pcha się wszędzie. W sprawie pogadanki wypowiedział się sodalis Lenar Leon z kl. VIII podając dwie metody walki z żydami: asemityzm i antysemityzm. Sodalisom odpowiada tylko asemityzm tj. zupełne, zgodne zerwanie stosunków z odwiecznym wrogiem*.[8]

Trzeba tutaj zaznaczyć, że są to opinie kwiatu łańcuckiej młodzieży. Dwóch braci mojej babci ukończyło tę szkołę. Pamiętam jak jeden z nich, wujek Michał opowiadał o czasach gimnazjalnych: *Przed wojną na sklepach należących do mieszkańców pochodzenia żydowskiego pojawiały się napisy „Nie kupuj u Żyda!", „Bij Żyda!". I kiedy na przerwach spotykaliśmy kolegów – Żydów, to byli oni przez nas bici.*

Zacytuję tutaj jeszcze pytania zadawane księdzu moderatorowi spotkań Sodalicji Mariańskiej gimnazjum łańcuckiego: *Dlaczego państwo zezwala na znęcanie się Żydów nad katolicką służbą?, Czy prawdą jest, że żydzi używają do macy krwi chrześcijańskiej?*, *Czy wolno bić żyda?, Dlaczego żydy noszą długie brody?*. Jak widać pomimo wielowiekowej obecności Żydów w Łańcucie, wiedza o ich obyczajach była znikoma. Trzeba przy tym zaznaczyć, że pytania powyższe były zadawane anonimowo, w formie pisemnej.

Jak widać chrześcijańscy uczniowie nie byli zachwyceni obecnością w szkole uczniów pochodzenia żydowskiego. Również rabini i rodzice młodych Żydów byli przeciwni uczęszczaniu do szkół katolickich. Pod koniec XVIII w. założono w Łańcucie szkołę hebrajską, przez wiele lat uważaną za jedną z najlepszych tego typu w Galicji. Na jakość kształcenia wpływał staranny dobór kadry pedagogicznej. W 1931 r. założono również szkołę dla dziewcząt. Pomimo funkcjonowania w mieście szkół hebrajskich, wielu młodych Żydów zdecydowało się na uczęszczanie do wspomnianego wyżej Gimnazjum im. H. Sienkiewicza. Trudno im było dostosować się do warunków panujących w placówce. Nauka odbywała się także w soboty, w godzinach modlitw w synagodze. Jednakże pomimo utrudnień, w latach 1916 – 1939 ukończyło około siedemdziesięciu uczniów pochodzenia żydowskiego.

[7] „Protokół z 3. zebrania plenarnego Sodalicji M. uczniów państwowego Gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Łańcucie, odbytego dnia 21 XI 1934.

[8] „Protokół z 7. zebrania plenarnego Sodalicji M. uczniów państwowego Gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Łańcucie, odbytego dnia 8 III 1934."

Mykwa w Łańcucie

Oprócz nauki, również życie kulturalne łańcuckich Żydów stało na wysokim poziomie. W 1930 r. wybudowano Dom Ludowy. Na uroczystość otwarcia przybyło wielu znakomitych gości: hrabia Alfred Potocki, starosta, burmistrz, przedstawiciele armii, sądu i poczty. Przyjechali także przedstawiciele kół syjonistycznych ze Lwowa i Krakowa. Gmina żydowska w Łańcucie kultywowała tradycje muzyczne. Wspomniałem wyżej o cenionych łańcuckich kantorach, a przed I wojną światową powstało Towarzystwo Muzyczne „Hazamir". W ramach organizacji działała orkiestra, która szczególnie rozwinęła się w okresie międzywojennym, kiedy występowała Łańcucie i wielu okolicznych miastach. Najczęściej koncertowano bezpłatnie, rzadziej za niewielką opłatą, a dochód przeznaczano zazwyczaj na cele charytatywne. Podstawowym zadaniem orkiestry było rozpowszechnianie idei syjonizmu. Przed II wojną światową w Łańcucie działało również amatorskie, żydowskie koło dramatyczne. Jego celem było zainteresowanie ludności żydowskiej literaturą dramatyczną, a także zbieranie funduszy na budowę Domu Ludowego.

Wybuch II wojny światowej przyniósł zagładę dla mieszkającej w Polsce społeczności żydowskiej. Okrutnego losu nie uniknęli również mieszkańcy Łańcuta. W 1939 r. miasto zamieszkiwało niespełna 8700 mieszkańców, w tym 2753 Żydów. Niemal cała Rzeszowszczyzna została opanowana przez wojska niemieckie do połowy września. Sam Łańcut został zajęty 9 września 1939 r.

22 września1939 r.Niemcy ogłosili w Łańcucie dekret, nakazujący wszystkim Żydom opuszczenie miasta do godziny szesnastej i skierowania się na wschód. Podobny nakaz otrzymali Żydzi z okolicznych miast i wsi. Niemcom chodziło o wypędzenie Żydów za linię Sanu, na tereny, które miały przypaść w udziale ZSRR.[9] Niektórzy powrócili do Łańcuta już po kilku tygodniach. Jedyną reakcją władz niemieckich na ten fakt była fala grabieży, która po raz kolejny przesunęła się przez domy żydowskie. Powracający nie mogli zamieszkać w swoich dawnych siedzibach, osiedlali się zatem w zachodniej części miasta.[10]Ostatecznie końcem 1940 r. Łańcut zamieszkiwało ok. 1300 Żydów.

Tuż po zakończeniu kampanii wrześniowej ludność nakazano ludności żydowskiej noszenie opasek z gwiazdą Dawida, znakowanie mieszkań i przedsiębiorstw. Wprowadzono również godzinę policyjną i zabroniono zmieniać miejsce zamieszkania. Niemcy pozbawili Żydów zakładów przemysłowych, rzemieślniczych i handlowych. Oprócz wykluczenia Żydów z życia gospodarczego, hitlerowcy usuwali również z zajmowanych dotychczas stanowisk inteligencję czyli adwokatów, lekarzy, nauczycieli itp. Odmawiano również prawa do zasiłku dla emerytów i inwalidów oraz ich rodzin. Już pierwsze dni okupacji przyniosły grabież mienia ludności żydowskiej. Niemcy nakładali na Żydów kontrybucje w gotówce i naturze (złoto, srebra i inne wartościowe rzeczy). Między innymi zobowiązano ich do umeblowania mieszkań przeznaczonych dla przybyłych do miasta hitlerowców.

W trakcie zimy 1939/40 z nakazu Niemców w Łańcucie utworzono Judenrat (radę żydowską), a przewodniczącym został dr Marcus Pohorille. Rada zobowiązana była dostarczać każdego dnia robotników do sprzątania ulic, odśnieżania, szorowania podłóg w urzędach i koszarach.[11] W Łańcucie funkcjonował również regionalny komitet Żydowskiej Samopomocy Społecznej, którego przewodniczącym był wspomniany wyżej Marcus Pohorille. Ów komitet zasięgiem działania obejmował także starostwo jarosławskie i niemiecką część Przemyśla, w grudniu 1940 roku komitet opiekował się sześcioma tysiącami Żydów, z czego około 1300 zamieszkiwało sam Łańcut.

Spośród tych, którym nie udało się uciec z miasta na tereny ZSRR niemal wszyscy łańcuccy Żydzi zostali zamordowani przez Niemców. W granicach miasta zabito około trzystu, a pozostałych wywożono do obozów w Sieniawie i Pełkiniach, a następnie do obozu zagłady w Bełżcu. Nieliczni ocaleni zawdzięczali życie

[9] Andrzej Potocki, „Żydzi w Podkarpackiem", Rzeszów 2004, s. 104.
[10] Alina Skrzypczak, dz. cyt., s. 98 – 99.
[11] Tamże, s. 99.

Polakom – mieszkańcom Łańcuta i okolicy, którzy z narażeniem siebie i swoich bliskich ukrywali swoich sąsiadów. Należy tutaj wspomnieć o postawie rodziny Ulmów w podłańcuckiej Markowej. Józef Ulma w swoim gospodarstwie ukrywał aż ośmioro Żydów. Oprócz sąsiadów z Markowej – rodziny Goldmanów, Ulmowie ukrywali także pięć osób z rodziny Szallów z Łańcuta. Ulmowie zapłacili za to najwyższą cenę. Cała ośmioosobowa rodzina, wraz z ukrywanymi przez nich Żydami została zamordowana. W 1995 r. Józef Ulma wraz z żoną Wiktorią zostali pośmiertnie uhonorowani medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata Obecnie rozpoczął się proces beatyfikacyjny rodziny z Markowej.

Chasyd na łańcuckim kirkucie

Michał Rzędzian

Cerkiew w Rychwałdzie – Owczarach

Łemkowszczyzna, kształtowała się na styku kilku różnych kultur. Pierwszymi osadnikami na tych terenach byli Wołosi oraz Rusini. To oni przynieśli tu język, wiarę i zwyczaje. W przeciągu stu lat obie grupy zasymilowały się tworząc oryginalną kulturę słowiańsko – bałkańską. Ważnym czynnikiem etnicznym kształtującym Łemków było zamieszkiwanie przez nich terenów na granicy Polski i Węgier. Należy do tego dodać czynnik przyrodniczy: górzysty teren, pełen nieprzebytych puszczy utrudniał osiedlanie i zmuszał do szukania nowych rozwiązań, zarówno w budownictwie, jak i życiu codziennym. Na tym gruncie powstała oryginalna kultura łemkowska. Kształtowała się ona na przestrzeni wieków, aby ostatecznie przybrać unikatowe formy, charakterystyczne jedynie dla tych terenów. Niestety II wojna światowa przyniosła kres spokojnemu życiu Łemków, a w 1947 roku w ramach akcji „Wisła" ludność Łemkowszczyzny została wysiedlona, natomiast znaki ich bytności starano się niszczyć. Jednak mimo, że akcja przesiedleńcza przeprowadzona była skutecznie, do dziś istnieją swoiste pomniki kultury łemkowskiej, takie jak cerkiew w Owczarach – Rychwałdzie, które świadczą o przeszłości tego regionu.

Badania etnograficzne na tych terenach zaczęto prowadzić w XIX w., ale dopiero w okresie międzywojennym opublikowano pierwsze prace o kulturze Łemków. Sztandarowym dziełem jest książka Romana Reinfusa - „Śladami Łemków", kulturze której to autor opisuje zarówno życie codzienne, zwyczaje, jak i architekturę, z obszernym opisem cerkwi tych terenów. Podobny charakter ma praca Krystyny Pieradzkiej „Na szlakach Łemkowszczyzny" z tym, że autorka więcej miejsca poświęca budownictwu, analizuje konstrukcje i wnętrze cerkwi. Michał Dragan swoją pracę „Ukraińskie cerkwie drewniane" poświecił nie tylko konstrukcji, ale także analizie, porównując świątynie na większości obszarów ukraińsko-językcznych. Po wojnie przez kilkanaście lat prace były prowadzone bardzo pobieżnie. Spowodowane to było zakazem wjazdu na tereny Łemkowszczyzny. W latach 60-tych rozpoczęto akcję ratowania drewnianych cerkwi, a co za tym idzie, podjęto prace konserwatorskie i badawcze. Pierwsze wnikliwe badania zostały opublikowane w 1968 r. Obecnie najbardziej szczegółową pracą

dotyczącą łemkowskich cerkwi jest praca Ryszarda Brykowskiego ,,Łemkowska drewniana architektura cerkiewna w Polsce, na Słowacji i Rusi Zakarpackiej." Autor analizuje w niej wszystkie drewniane cerkwie Łemkowszczyzny, zarówno pod względem formy, jak i stylu. Niestety nie obejmuje ona opisu wnętrz świątyń. Inną pracą R. Brykowskiego jest ,,Drewniana architektura cerkiew- na na koronnych ziemiach Rzeczy-pospolitej." Natomiast Stanisław Kryciński napisał ,,Cerkwie w Karpa-tach." Jest to praca, która przedstawia drewnianą architekturę cerkiewną na terenach polskich, słowackich, ukraińskich i rumuńskich Karpat. Niedawno została wydana praca Magdaleny i Artura Michniewskich oraz Marty Dudy ,,Cerkwie drewniane Karpat. Polska i Słowacja." Książka ta przedstawia krótką historię i opis zarówno zewnętrzny jak i wewnętrzny cerkwi. Świątynię w Owczarach-Rychwałdzie oraz jej krótką historię opisał Ryszard Brykowski analizując wygląd cerkwi. Ikonostasem zajmowała się Renata Próchniewicz-Bor. Jej praca ,,Ikonostas z Owczar" porusza kwestie pochodzenia oraz wpływów jakie uformowały jego ostateczny kształt.

Zarys dziejów wsi i cerkwi

Wieś lokowano w 1323 r. na prawie niemieckim pod nazwą Richwałd (niem. ,,bogaty las"), co wskazuje na niemieckie pochodzenie pierwszych osadników. Należała na początku do założyciela Gorlic, Dersława Karwacjana. W 1417 r. przeniesiono ją na prawo wołoskie. Był to jeden z najwcześniejszych przykładów zastosowania tego prawa na terenie Beskidu Niskiego. Zachował się dokument lokacyjny, określający m.in. bogate przywileje kniazia (sołtysa), który dysponował dwoma i pół łanami ziemi, zatrzymywał szóstą część czynszów ściąganych od osadników i sprawował władzę sądowniczą. W 1885 r. wieś liczyła prawie 150 domów i 914 mieszkańców, w tym 93 rzymskich katolików i 21 Żydów. Działała na miejscu szkoła, rozwinięte było płóciennictwo, wydobywano także na niewielka skalę ropę naftową. Tradycyjnym zajęciem rychwałdzian była hodowla owiec i handel baraniną na jesiennych targach w Gorlicach. Posiadali na to ponoć przywilej, którego wydanie przypisywano rozmaitym władcom, od Kazimierza Wielkiego do Józefa II. Jeszcze w 1923 r. wygrali na tej podstawie proces, uzyskując specjalne ulgi podatkowe. Śladem tej tradycji jest obecna nazwa miejscowości. Po II wojnie światowej ludność łemkowską wysiedlono, zaś w 1948 r. zmieniono nazwę wsi na Owczary.

Dokument lokacyjny zawiera przyrzeczenie kniazia Klimy dotyczące wybudowania cerkwi, dokument ten jednocześnie zobowiązuje kmieci do wspólnej pracy z kniaziem. Przypuszcza się, że łącznie z przygotowaniem odpowiedniego budulca świątynię musiano budować przez dwa lub trzy sezony. Cerkiew więc postawiono około 1420 r. Pierwotny plan z początku XV w. był planem centralnym, natomiast ikonostas miał formę ,,triabla" czyli belki z wydrążonymi zagłębieniami, w które wstawiano ikony bez innych umocnień. Najstarsza wzmianka o parochii rychwałdzkiej pochodzi z 1581 r. i potwierdza ona istnienie drewnianej cerkwi. Miejscowa tradycja podaje, że pierwsza świątynia stała w górnej części wsi. Jej koniec był jednak tragiczny: zatonęła w bagnie. Do dzisiejszego dnia w okolicy, gdzie stała, słychać ponoć w Wielki Czwartek dźwięk dzwonów.

Kolejną cerkiew wybudowano w 1653 r. na terenie świeżo wykarczowanym. Nie wykonano więc podmurówki, lecz podwaliny osadzono na pniakach ściętych drzew. W czasie remontu w latach osiemdziesiątych XX w. pod budowlą odnaleziono liczne stare korzenie.

Z XVII-wiecznej budowli do dziś zachowała się nawa oraz portal zachodni, w którego nadprożu zachowała się data budowy cerkwi. W 1710 r. wybudowano nowe prez-biterium, do którego niedługo później dostawiono zakrystię. W czasie badań prowadzonych w latach sześć-dziesiątych XX w. na elementach konstrukcyjnych wieży odnaleziono z kolei daty związane z jej budową: między innymi rok 1783 oraz nazwiska budowniczych: Dymitra Dekownikina i Teodora Rusinka z Biesiadki. W 1870 roku powiększono babiniec do szerokości nawy, tak, że słupy wieży mieszczą się obecnie w jego wnętrzu. W latach 1880, 1886, 1926 prowadzone były prace przy remoncie wieży, daty te znajdują się na słupach wieży. W rocznicę 950-lecia Chrztu Rusi (1938 r.) świątynia została gruntownie wyremontowana.

W początkach XVIII w. nastąpiła modernizacja wystroju wnętrza świątyni. Z tego czasu pochodzi cale wyposażenie nawy: ikonostas, dwa ołtarze boczne i nastawa trzeciego. Obecna polichromia nawy i prezbiterium pochodzi z roku 1938, ale badania przeprowadzone w latach osiemdziesiątych odkryły starsze malowidła.

Od 1947 r. cerkiew jest używana jako kościół rzymskokatolicki. Nabożeństwa w obrządku wschodnim odbywały się sporadycznie do roku 1998. Obecnie odprawia się je regularnie, ksiądz dojeżdża z Łosia. W 1995 r. cerkiew w Owczarach – Rychwałdzie otrzymała prestiżowa nagrodę Prix

Europa Nostra za najlepiej utrzymaną budowlę zabytkową.

Opis

Cerkiew w Owczarch-Rychwałdzie p.w. Opieki Matki Bożej jest to budowla łemkowska typu północno-zachodniego, orientowana, pozornie dwudzielna. Składa się z babińca, nawy, prezbiterium i zakrystii. Trzy główne części cerkwi mają plan nieregularnych czworoboków, natomiast zakrystia jest prostokątna. Rzut pionowy całej bryły widziany od strony elewacji bocznej można wpisać w trójkąt prostokątny, przy czym wierzchołki hełmów wyznaczają przeciwprostokątną tego trójkąta. Pierwszą częścią składową cerkwi od wejścia po stronie zachodniej jest babiniec. Zawarty jest on w wieży konstrukcji słupowej, posiadającej pozorną izbicę zwieńczoną baniastym hełmem. Dolna jej część otoczona jest obejściem z dachem pulpitowym. Izbica jest szalowana, reszta natomiast przykryta gontem. Drugą częścią cerkwi jest nawa o konstrukcji zrębowej. Szerokość nawy jest równa szerokości wieży ujętej wraz z jej obejściem. Nawa nakryta jest dachem łamanym, zwieńczonym baniastym hełmem. Wschodnią i najniższą częścią świątyni jest prezbiterium. Podobnie jak nawa, jest konstrukcji zrębowej, przykryte dachem łamanym, zwieńczonym baniastym hełmem. Całość pokryta jest gontem. Po północnej stronie prezbiterium znajduje się zakrystia.

Wnętrze świątyni jest trójdzielne. Babiniec nakryty jest płaskim stropem, natomiast nawa oraz prezbiterium łamanymi kopułami namiotowymi zdobionymi polichromią. Także ściany części środkowej oraz wschodniej pokryte są malowidłami. Na ścianach bocznych nawy znajdują się ołtarze usytuowane naprzeciw siebie. Między prezbiterium a nawą znajduje się pięciorzędowy ikonostas typu karpackiego.

Analiza formalna

Bryła

Liturgia, obrzędy oraz obyczaje Kościoła Wschodniego stanowią istotną rolę w tworzeniu się sztuki cerkiewnej. Odzwierciedla się to zarówno w bryle budowli jak i w wystroju wnętrza. Bardzo ciekawe rozwiązania stosowano w kościołach unickich, które prócz cech bizantyjskich adaptowały cechy łacińskie. Takimi budowlami są cerkwie z kręgu północno- zachodniej sztuki łemkowskiej, będące jednocześnie najbardziej na zachód wysuniętą grupą architektury cerkiewnej w Europie. Świątynia w Rychwałdzie-Owczarach wpisuje się w ten nurt w całej swej okazałości. Na przykładzie tej właśnie cerkwi postaram się przedstawić główne cechy stylu północno-zachodniego.

Przyjętym powszechnie typem planu cerkwi jest trójdzielny rzut o wydłużonym układzie, składający się z trzech pomieszczeń, które stanowią: babiniec, nawa, prezbiterium. Układ ten cechuje symetria uwydatniona centralnością zawsze szerszej i większej nawy, przy zachowaniu analogicznych rozmiarów babińca i prezbiterium. Drugim tradycyjnym elementem jest system odrębnego nakrycia każdej części obiektu namiotowym dachem dwu- lub trzykrotnie łamanym, zwieńczonym hełmem z pseudolatarnią, tzw. makowicą. Najbardziej charakterystyczną cechą świątyń zachodnio-łemkowskich jest zróżnicowanie wysokości poszczególnych części. Najniższe jest prezbiterium, następnie wyższa nawa i najwyższa wieża kryjąca w sobie babiniec. Cała bryła wpisuje się w trójkąt prostokątny. Cerkwie posiadające te trzy cechy zwykło się określać wariantem ,,klasycznym" bądź ,,starszym" w przeciwieństwie do wariantu młodszego, posiadającego dach jednokalenicowy. Tak więc cerkiew w Rych-wałdzie – Owczarach posiada wszystkie cechy wariantu klasycznego.

Ważnym elementem rychwałdzkiej cerkwi jest wieża, która upodabnia ją do łacińskich drewnianych kościołów Małopolski i jest tak charakterystyczna dla zachodnio-łemkowskiego stylu. Według najnowszych badań przyjmuje się, że wieża jest wypadkową dwóch kręgów kulturowych - bałkańskiego i ziem ruskich Polski Przedrozbiorowej, które ,,nałożyły się" na siebie w Karpatach, zwłaszcza po polskiej, północnej stronie. Na północy ,,miejscowym" był bezwieżowy plan trójdzielnej cerkwi, natomiast formą ,,napływową" wieża, która nałożyła się na ten układ. Podczas gdy na południowych stokach Karpat przyjął się dość powszechnie typowo bałkański układ drewnianej świątyni - plan dwudzielny zwieńczony wieżą o prostych ścianach i posadowioną na zrębie zachodniej części budowli - to po północnej stronie przyjęto jedynie samą ,,ideę" wieżowej cerkwi, nadając jej polskie rozwiązanie zaczerpnięte z architektury kościelnej - wysoką wieżę o ścianach pochyłych i posadowioną wprost na gruncie, konstrukcyjnie nie związaną ze zrębem budowli. Słupowa konstrukcja wieży umożliwiała powieszenie u jej szczytu dzwonu, stąd też dodatkowo górną część wieży obudowywano tworząc izbicę - swoiste pudło rezonansowe.

Owczary reprezentują w tym względzie inne rozwiązanie. Dzwonnicę umieszczono przed świątynią na jej osi, tak, że wieża pełni rolę czysto dekoracyjną. Izbica zaś ma charakter pozorny i nie posiada żadnych akustycznych funkcji. Natomiast wprowadzenie dominanty w postaci wieży spowodowało zatarcie się pionowego, symetrycznego akcentowania budowli, tak charakterystycznego dla ruskich cerkwi obszaru karpackiego.

Bardzo ciekawie również została rozwiązana zakrystia cerkwi w Owczarch-Rychwałdzie, która mieści się w długości prezbiterium i szerokości nawy, przez co nie wpływa na zaburzenie rytmu świątyni.

Wnętrze

Wnętrze cerkwi w Rychwałdzie-Owczarach zostało podyktowane przez obrzędowość Kościoła Wschodniego. Trójpodział, który mocno jest widoczny na zewnątrz, nie mniej został zaznaczony w środku. Było to związane z oddzieleniem od siebie części dla kobiet, mężczyzn oraz sakralnej. Pierwotnie istniała drewniana przegroda między babińcem czyli pomieszczeniem dla kobiet a nawą – przeznaczoną dla mężczyzn.

Między prezbiterium a nawą umieszczono ikonostas, ozdobną ścianę z ikonami, stanowiącą centralny punkt świątyni. To ikonostas, jako podstawowy element wystroju cerkwi, oddzielał sacrum od profanum.

W Owczarach mamy do czynienia z ikonostasem pięciorzędowym. U samej góry, po środku jest scena Ukrzyżowania. Krzyż trójramienny z malowaną postacią Chrystusa Ukrzyżowanego ozdobiony jest liśćmi akantu. Po obu stronach, w ośmiobocznych medalionach, zostali przedstawieni prorocy, po dwóch na obrazie: Jakub z Salomonem, Ezechiel i Dawid, Jeremiasz z Amosem, Daniel z Gedeonem, Zachariasz z Jonaszem, Mojżesz z Aaronem, wyobrażeni w półpostaciach z rozwiniętymi romulusami i atrybutami. Tego typu ujęcie było typowe dla malarstwa XVII-XVIII w. Poniżej umieszczono rząd tzw. Wielkiej Deesis. W centrum znajduje się Chrystus - Król Chwały, przedstawiony w typie bałkańskim, tzn. tron jest namalowany symetrycznie, natomiast nogi i stopy Chrystusa już nie. Taki wizerunek pojawia się na Podkarpaciu ok. połowy XVII w. Umieszczony na wysokości ramion napis ,,Car Sławy" jest jednocześnie rzadkim, jak i bardzo późnym określeniem, wyrażającym ideowy związek z liturgią. Po obu stronach zostali przedstawieni apostołowie ze swoimi atrybutami, po dwóch na obrazie. I tak od lewej strony znajdują się Piotr i Andrzej, Mateusz i Marek, Bartłomiej i Filip, Paweł i Jakub, Łukasz i Jan, Szymon i Tomasz. Bardzo ciekawym elementem owczarskiego ikonostasu są przedstawienia: „Chrystus w grobie", „Chrystus z uczniami w drodze do Emaus", „Trzy Marie u grobu" występujące pod rzędem Deesis. Tego typu kompozycja pojawiła się około połowy XVII w., a jej obecność była związana z dodaniem kilku przedstawień - scen ilustrujących wydarzenia z życia Chrystusa. Pod ikoną Chrystusa w grobie znajduje się przedstawienie Ostatniej Wieczerzy, utrzymane w konwencji malarstwa zachodniego. Po obu stronach występują ikony znane jako ,,priazdniki" czyli ikony świąteczne - obrazy przedstawiające dwanaście najważniejszych świąt Kościoła Wschodniego. Były to ikony ruchome wystawiane w okresie danego święta wiernym do całowania. Pierwszą ikoną jest „Ofiarowanie Marii" jedno z najważniejszych świąt w Prawosławiu. Następne są to: „Adoracja Dzieciątka" i ,,Chrzest Chrystusa", który w Owczarach został przesunięty - powinien się znajdować po ikonie ,,Oczyszczenia Matki Boskiej". Kolejnymi ,,prazdnikami" są: ,,Ofiarowanie Pańskie", ,,Zwiastowanie Marii". ,,Wjazd do Jerozolimy", ,,Zmartwychwstanie", ,,Wniebowstąpienie", ,,Zesłanie Ducha Świętego", ,,Przemienienie Pańskie", ,, Zaśnięcie Marii" i ,,Narodzenie Marii" - ikona, która powinna rozpoczynać cały cykl. Niżej znajdują się ikony namiestne oraz wrota diakońskie i carskie. Centralnie umieszczone są Wrota Carskie, które przekroczyć może jedynie celebrans albo car. W Owczarach przybierają one postać esowatej wici roślinnej z sześcioma medalionami, w których została przedstawiona scena zwiastowaniea – na dwóch górnych medalionch – z postaciami Marii i Archanioła Gabriela oraz czterech Ewangelistów poniżej. Na ościeżach Carskich Wrót zostali przedstawieni Ojcowie Kościoła: św. Kliment, św. Bazyli Wielki, św. Nikifor i św. Atanazy. Skrajnie po lewej stronie, znajduje się ikona, która przedstawia świętego szczególnie czczonego na danym terenie. W Karpatach był to św. Mikołaj, ale w przypadku Owczar znajduje się tu ,,Przemienienie." Ogólny schemat przedstawienia jest tradycyjny, natomiast upozowanie poszczególnych postaci odbiega od starszych XV-XVI wiecznych wariantów mieszcząc się w obrębie tych zmian, jakie dokonały się w XVI w. Kolejną ikoną jest Matka Boska z Dzieciątkiem, w cerkwi w Rychwałdzie przedstawiona w typie Hodegetrii. Malarz nawiązał do tradycyjnego rusko-

bizantyjskiego przedstawienia. Jest to piękny przykład ścisłych związków stylistycznych sztuki Wschodu z manierą i osiągnięciami sztuki Zachodu. Po prawej stronie Carskich Wrót znajduje się ikona Chrystusa Pantokratora – jej umiejscowienie związane było z obrzędem, który wymagał od prezbitera odmawiania przed nią modlitw. W Owczarch Pantokrator ma trójkątną, plastycznie modelowaną twarz. Ten typ występuje w licznych obrazach XVII w. i to zarówno po polskiej, jak słowackiej i ruskiej stronie Karpat. Ostatnia ikoną z rzędu namiestnych była ikona chramowa - przedstawiająca patrona cerkwi. W opisywanej cerkwi jest to ,,Pokrow Matki Boskiej.” Matka Boska została ukazana w tzw. wariancie moskiewskim - Maria na tle ściany cerkwi, w uniesionych rękach trzymająca welon, otoczona postaciami Andrzeja, Epifaniusa oraz Romana Słodkopiewcy. Bardzo ciekawe dla ikonostasu z Rychwałdu- Owczar są przedstawienia z predelli. Ukazane tam zostały następujące sceny: ,,Miłosierny Samarytanin”, ,,Chrystus z wizytą u Marty”, ,,Chrystus i Samarytanka” i ,,Sen Jakuba”. Są to obrazy utrzymane w duchu malarstwa zachodniego. Ikonostas z Rychwałdu-Owczar wykazuje dwie tendencje stylistyczne, przynależne do dwóch różnych warsztatów. Autorem jednej grupy ikon (ikony namiestne, rząd prazdników oraz przedstawienia w predellach) jest Joan Medycki. Biegłość warsztatowa i latynizacja przedstawień wskazują, że autor musiał być związany z ośrodkami szeroko otwartymi na wpływy zachodnie. Reszta ikon nie wykazuje już tak profesjonalnego opanowania warsztatu. Wpływy zachodnie, graficzność, cechy prymitywizacji wskazują na pracującego na użytek cerkwi malarza o mniejszych zdolnościach.

Po roku 1569 w wyniku Unii Brzeskiej do cerkwi zaczęto wprowadzać elementy wystroju kościoła rzymsko-katolickiego. Był to proces latynizacji. Na północnej i południowej ścianie świątyni w Owczarach zostały umieszczone ołtarze. Po południowej stronie jest to ołtarz św. Mikołaja Zarajskiego. Wizerunek świętego ukształtowany jest w bardzo popularny sposób, z centralnie umieszczoną postacią św. Mikołaja, namalowany zaś jest w typie rusko-bizantyjskim. Po obu stronach świętego znajdują się kleimy z przedstawieniami scen z jego życia, tak więc po lewej stronie mamy: ,,Narodzenie św. Mikołaja”, ,,Chrzest świętego” i ,,Mikołaj pobiera nauki”. Po prawej stronie: ,,Wyświęcenie Mikołaja na diakona”, ,,Wyświęcenie Mikołaja na biskupa” i ,,Św. Mikołaj ukazuje się we śnie cesarzowi Konstantynow.” Każda scena opisana jest cyrylicą. Przedstawienia te ujęte są w sposób linearny, na tle fragmentarycznej architektury miejskiej. Po północnej stronie umieszczono przedstawienie Matki Boskiej z Dzieciątkiem, ukazanej w typie Hodegetrii.

***

Cerkiew w Rychwałdzie-Owczarch stanowi przykład ciągłości tradycji budowlanych na Łemkowszczyźnie oraz wielkiego kunsztu budowniczych. Świątynia praktycznie była budowana ponad dwieście lat (nawa z połowy XVIIw.; prezbiterium z początku XVIII w.; wieża z II połowy XIXw.), a mimo to utrzymała wygląd ,klasycznej cerkwi łemkowskiej. Liczne przebudowy nie wpłynęły negatywnie na bryłę cerkwi. Zostały zachowane proporcje między kolejnymi częściami, dzięki czemu, wraz ze swym ciekawym wnętrzem, jest dziś uważana za jeden z najpiękniejszych przykładów łemkowskiej architektury.

Bibliografia

1.Ryszrd Brykowski, *Drewniana cerkiew łemkowska z Rychwałdu-Owczar*, Rocznik Historii Sztuki 1988, t.XVII, str. 227-253.
2.Ryszard Brykowski, *Drewniana architektura cerkiewna na koronnych ziemiach Rzeczypospolitej*, Warszawa 1995.
3.Ryszard Brykowski, *Łemkowska drewniana architektura sakralna w Polsce, na Słowacji i na Rusi Zakarpackiej*, Warszawa 1986.
4.Barbara Dąb- Kalinowska, *Ikony i obrazy*, Warszawa 2000.
5.Janina Kłosińska, *Ikony*, Kraków 1973.
6.Stanisław Kryciński, *Drewniane cerkwie karpackie*, Warszawa 1984.
7.Michał Łesiów, *Rola kulturotwórcza Ukraińskiej Cerkwi Greckokatolickiej*, Lublin 2001.
8.Magdalena i Artur Michniewscy, Marta Duda, *Cerkwie drewniane Karpat- Polska i Słowacja*, Pruszków 2003.
9.Krystyna Pieradzka, *Na szlakach Łemkowszczyzny*, Kraków 1939.
10.Renata Próchniewicz- Bor, *Ikonostas z Owczar*, Lublin 1992.
11.Roman Reinfus, *Śladami Łemków*, Warszawa 1990.

Anna Śliwa

Aktywność kulturalna Łemków z województw małopolskiego i podkarpackiego po 1989 r.

Przemiany polityczne i społeczne roku 1989 przyniosły ożywienie aktywności obywatelskiej w Polsce. Jak grzyby po deszczu, w krótkim czasie zaczęły pojawiać się różnorodne stowarzyszenia i fundacje. Zniesienie cenzury i respektowanie wolności słowa zaowocowało możliwością organizowania niezależnych od władz festiwali, koncertów i przedstawień. Pojawiły się też niezależne gazety i czasopisma a wychodzące dotąd w drugim obiegu książki mogły ujrzeć światło dzienne. Ożywienie to nie ominęło także żyjących w Polsce mniejszości narodowych. Demokratyzacja życia politycznego i społecznego pozwoliła im na jawne, nieskrępowane i zupełnie legalne manifestowanie swojej odrębności. Społeczność łemkowska nie była tutaj wyjątkiem. Choć część istniejących do dziś inicjatyw narodziła się jeszcze przed 1989 rokiem, to dopiero dekada lat dziewięćdziesiątych pozwoliła im na swobodne rozwinięcie skrzydeł i trwałe wpisanie się w krajobraz kulturowy Łemkowszczyzny tak, że J. Gołda nazywa ten okres „łemkowskim odrodzeniem”[12].

Imprezy kulturalne

Wszystkie liczące się organizacje łemkowskie stawiają sobie za jeden z głównych celów rozwijanie i ochronę rodzimej kultury[13]. Ma on być realizowany w głównej mierze przez organizację różnorodnych imprez kulturalnych, takich jak przeglądy zespołów folklorystycznych, przedstawień teatralnych, wieczorów literackich, zabaw ludowych, spotkań towarzyskich, a także seminariów, odczytów, prelekcji i wykładów jej poświęconych. Ostatnie dwudziestolecie przyniosło prawdziwy wysyp zarówno lokalnych jak i mających szerszy zasięg inicjatyw. Do największych należą: „Łemkowska Watra” w Zdyni, Kermesz z okazji uroczystości Przeniesienie Relikwii Św. Mikołaja Cudotwórcy w Olchowcu, „Od Rusal do Jana” w Zyndranowej, Łemkowska Jesień Twórcza w Gorlicach, Międzynarodowe Biennale Kultury Łemkowskiej/Rusińskiej w Krynicy oraz Na Maziarskim Szlaku w Łosiu.

Najbardziej znaną łemkowską imprezą kulturalną jest „Łemkowska Watra” mająca miejsce w trzeci weekend lipca w Zdyni. Z pomysłem organizacji dorocznych spotkań Łemków, podczas których miano promować ich tradycje wyszli w 1983 r. Piotr Trochanowski, Władysław Graban i Aleksander Klimkowski. W założeniu miały to być spotkania przy ognisku w celu wyszukiwania młodych talentów[14]. Jednak bardzo szybko ich popularność przerosła oczekiwania organizatorów. Watry stały się bowiem nie tylko przeglądem młodych zespołów ale także miejscem spotkań rozrzuconej po całym kraju społeczności łemkowskiej, wspomnień i odbudowy zerwanych więzi, a także czynnikiem rozbudzającym potrzeby zachowania własnej odrębności kulturowej[15]. W latach 1983 - 1985 „Watry” odbywały się w Hańczowej, natomiast od 1986 do 1989 w Bartnem. Wśród organizatorów i uczestników byli zwolennicy obydwu opcji światopoglądowych występujących w łemkowskiej społeczności. Różnice zdań zaczęły się ujawniać na dobre w końcu lat osiemdziesiątych i zaowocowały przejęciem organizacji spotkań przez Zjednoczenie Łemków. Zostały one przeniesione do Zdyni i zmieniły się w próbę ukazania kultury łemkowskiej jako jednego z aspektów kultury ukraińskiej[16].

Pozostający w opozycji do takiego rozumienia miejsca Łemków wśród narodów słowiańskich działacze Stowarzyszenia Łemków zaczęli organizować swoje własne spotkania w Michałowie na Dolnym Śląsku. Przyjęły one nazwę „Watry na Obczyźnie” i skupiają obecnie głównie przesiedleńców na Ziemie Zachodnie.

Po 1990 roku notuje się stały wzrost popularności „Łemkowskich Watr”. W związku z otwarciem granic coraz liczniej zaczęli się na nich

[12] J. Gołda, Odrodzenie Łemków, „Sycyna”, R. 1996, nr 16, s. 12 - 13.

[13] por. Statut Stowarzyszenia Łemków, §7 p. 2, http://www.stowarzyszenielemkow.pl/modules/smartsection/item.php?itemid=2, 4.02.2009, Statut Zjednoczenia Łemków §3 p. 1, http://www.lemkounion.republika.pl/Dokumenty/statut.pdf, 5.02.2009.

[14] J. Albin, Próby odbudowy łemkowskich tradycji na Podkarpaciu, „Annales Universitatis Mariae Curie- Skłodowska Lublin- Polonia”, Sectio F, R. 1999/2000, vol. LIV/LV, s. 276.

[15] T. A. Olszański, Wokół łemkowskich „Watr” i ich spraw, „Magury” R. 1989, s. 75- 76.

[16] J. Albin: op. cit., s. 278- 279.

pojawiać Łemkowie z innych krajów, między innymi ze Słowacji, Ukrainy a także USA i Kanady. Wzbogaceniu uległ także program, w którym pojawiły się występy zagranicznych wykonawców. Stanisław Kłapyk, wiceprezes Zjednoczenia Łemków podkreśla, że w ostatnich latach „Watra" otwiera się także na inne narodowości, stając się platformą dialogu międzykulturowego[17].

Corocznie festiwal odwiedza około 10 tys. gości z całego świata[18]. Większość z nich stanowią Łemkowie. Jednak z roku na rok coraz więcej jest turystów, których przyciąga barwna oprawa, żywiołowa muzyka i atmosfera spotkań w Zdyni. Aby pomieścić tak wielką rzeszę gości Zjednoczenie Łemków wykupiło teren nad wsią pod Popowymi Wierchami i zagospodarowało na tereny festiwalowe. Powstał tam amfiteatr z zapleczem oraz pole namiotowe z węzłem sanitarnym.

Z niewielkiego przeglądu muzycznego „Watra" stała się obecnie prawdziwym świętem kultury łemkowskiej. Od 10 lat towarzyszy jej akcja „Łemkowskie Jeruzalem" czyli Międzynarodowe Prezentacje Twórczości Plastycznej Artystów Łemkowszczyzny w galerii „Dworu Karwacjanów" w Gorlicach. W samej Zdyni organizowane są wystawy prac i zdjęć łemkowskich artystów[19]. Imprezie towarzyszy także składanie kwiatów w miejscach związanych ze znanymi Łemkami, jak na przykład pod pomnikiem Bohdana Ihora Antonycza w Nowicy czy na mogile Epifaniusza Drowniaka (Nikifora Krynickiego) w Krynicy. Organizatorzy nie zapominają także o najmłodszych uczestnikach. Co roku mogą się oni zmierzyć w organizowanej od 1994 r. „Łemkowskiej Spartakiadzie", a dziecięce i młodzieżowe zespoły biorą udział w specjalnym przeglądzie.

Jak dotąd najbardziej uroczysty przebieg miała XXV Watra w 2007 r. Jubileusz istnienia festiwalu zbiegł się w czasie z 60 rocznicą Akcji „Wisła". W związku z tym wydarzeniem Zdynię odwiedził prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko. Zaproszenie wysłane zostało także do prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego, jednak z jego strony w uroczystościach uczestniczyła Elżbieta Jakubiak. Przebieg festiwalu zdominowały obchody 60 rocznicy Akcji „Wisła" i tematyka dialogu polsko-ukraińskiego. Centralnym ich punktem były modlitwa za zmarłych (panachyda) oraz poświęcenie dzwonu pokoju. Jako pierwszy uderzył w niego Wiktor Juszczenko, który niedługo później na konferencji prasowej zadeklarował, że czuje się Łemkiem[20].

W ostatnich latach zaczynają się pojawiać zarzuty, że „Łemkowska Watra" coraz bardziej zatraca swój charakter i gubi cel, dla którego była organizowana i staje się jednym z wielu festiwali folklorystycznych. Jest to konsekwencją jej masowości i uatrakcyjniania napiętego do granic możliwości programu.

Odmienną genezę i cele ma organizowany w Olchowcu w okolicach 22 maja Kermesz. Jest on związany z odpustem miejscowej cerkwi pod wezwaniem Przeniesienia Relikwii Mikołaja Cudotwórcy. Olchowieckie Kermesze maja bogatą historię. Już na przełomie XIX i XX wieku przyciągały rzesze pielgrzymów oraz chętnych do zabawy sąsiadów z okolicznych wsi. Odwiedziny te uległy zahamowaniu na skutek schizmy tylawskiej, kiedy mieszkańcy Olchowca jako jedni z nielicznych w okolicy pozostali wierni wyznaniu grekokatolickiemu. Trudu odnowienia tej pięknej tradycji podjęła się w 1991 r. miejscowa Rada Parafialna przy entuzjastycznej zachęcie ze strony ówczesnego proboszcza księdza Jana Pipki. Współpracę z nimi podjęło Towarzystwo Karpackie z Warszawy[21]. Z czasem na jednego z głównych animatorów Kermeszu wyrósł Tadeusz Kiełbasiński, działacz Towarzystwa Karpackiego z Łodzi, który w odkupionej łemkowskiej chyży Michała Gabło prowadzi prywatną izbę muzealną.

Kermesz w Olchowcu jest przede wszystkim imprezą o charakterze religijnym. Rozpoczyna się w sobotni wieczór nabożeństwem w cerkwi. Dalsze uroczystości mają miejsce w niedzielne przedpołudnie i składają się na nie liturgia oraz procesja ze sztandarami. Biorą w niej udział zarówno mieszkańcy Olchowca jak i przyjezdni. Świecka część Kermeszu zaczyna się dopiero po

[17] M. Lubaś- Harny, Watra Pokoju, „Gazeta Krakowska", 20.07.2007, s. 11.
[18] Zabrzmi dzwon pokoju, „Gazeta Krakowska", 21- 22.07.2007, s. 5.
[19] por. Program XXIV Łemkowskiej Watry, http://www.lemkounion.com/Dokumenty/program%20_pl_06.pdf, Program XXV Łemkowskiej Watry, http://www.lemkounion.com/Dokumenty/program_pl_07.pdf, Program XXVI Łemkowskiej Watry, http://www.lemkounion.com/Dokumenty/program_pl_08.pdf.
[20] A. Nigbor, Wciąż wracają, „Gazeta Krakowska", 23.07.2007, s. 4.
[21] T. Kiełbasiński, Olchowieckie Kermesze, „Głos spod Horbu. Jednodniówka Olchowiecka", R. 1996, nr 2, s. 5.

zakończeniu procesji. Składają się na nią przede wszystkim występy zespołów folklorystycznych. W przeciwieństwie do „Watry" pochodzą one tylko z terenów Łemkowszczyzny polskiej i słowackiej. Rolę gospodarzy pełni zespół Terka z Olchowca. Co roku organizowany jest także wykład poświęcony kulturze łemkowskiej. Kermeszowi towarzyszą wystawy obrazujące dawne życie na Łemkowszczyźnie, historię Olchowca oraz lokalne tradycje[22]. Jest to także okazja do spotkania dawnych mieszkańców wsi i ich potomków, którzy z roku na rok przybywają coraz liczniej w rodzinne strony. Od 1993 roku na Kermesz wydawana jest gazetka „Głos spod Horbu", w której znaleźć można informacje o przeszłości Olchowca i okolic, jego mieszkańcach, działalności izby muzealnej i lokalnej kulturze.

W 1991 r. w środowisku działaczy skupionych wokół Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej narodził się pomysł organizacji własnej imprezy kulturalnej. Miała ona promować miejscową kulturę i tradycje związane głównie z wiosennymi świętami Rusal (Zielone Świątki) i nocy świętojańskiej. Od początku organizatorzy dbają aby była ona pozbawiona jakichkolwiek odniesień politycznych[23].

Pierwsze edycje „Od Rusal do Jana" odbywały się w końcu czerwca, jednak z czasem zostały one przesunięte na ostatni weekend lipca. Konsekwentnie realizowanymi celami jego twórców jest prezentacja dorobku kulturalnego Łemków z Polski, Słowacji i Ukrainy oraz działalność na rzecz spotkania kultur. Wśród zespołów i artystów z Polski pojawiają się prawie wyłącznie ci, którzy tworzą na Łemkowszczyźnie. Tradycją stało się także zapraszanie przynajmniej jednego zespołu prezentującego folklor odmienny od łemkowskiego. W związku z tym w Zyndranowej gościli już między innymi „Pogórzanie" z Głowienki, grupa cygańska ze słowackiego Svidnika, chór Dobroszanka z Polesia czy Piasty z Miejsca Piastowego. Natomiast publiczność zjeżdża się z całego kraju, a także z zagranicy. Są to często wysiedleńcy lub ich potomkowie, dla których jest to swoista pielgrzymka do ojczyzny. Święto rozpoczyna się w sobotę od złożenia kwiatów pod pomnikiem ofiar Talerhoffu oraz poległych w operacji dukielsko-preszowskiej. Wieczorem zaczynają się występy zespołów folklorystycznych. Prowadzi je od początku istnienia festiwalu Teodor (Fedor) Gocz.

Po zapadnięciu ciemności na dwóch okolicznych wzgórzach rozpalane są wielkie ogniska. Jest to nawiązanie do dawnych tradycji pasterskich, w myśl których zapalone ogniska miały oznaczać, że na wypasie wszystko jest w porządku[24]. Niedziela rozpoczyna się uroczystą liturgią w miejscowej cerkwi pod wezwaniem św. Mikołaja. Przewodniczy jej niemal co roku arcybiskup Adam. Po nabożeństwie wierni udają się na cmentarz, gdzie odmawiana jest panachyda za zmarłych i poległych dawnych mieszkańców wsi. Popołudnie należy ponownie do zespołów folklorystycznych i jest okazją do wspólnych tańców i śpiewów.

Święto „Od Rusal do Jana" podobnie jak całe Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej przeżywało swoje lepsze i gorsze chwile. Początkowe jego edycje wiązały się z nadzieją na uzyskanie pomocy państwa na dalsze prowadzenie działalności. Pogłębiały je zapewnienia przedstawicieli władz samorządowych i państwowych o przyznaniu dotacji. Szczególnie podniosły charakter miały uroczystości w 1994 r. połączone z otwarciem chałupy żydowskiej, na które przybył ze Stanów Zjednoczonych jedyny ocalały zyndranowski Żyd i krewny jej właściciela Samuel Oliner. Jednak już rok później po odwiedzinach ówczesnego ministra kultury Michała Jagiełły zaczęły się pojawiać głosy o możliwości zmiany nazwy imprezy na „Łemkowskie Lato" i przeniesienia jej do bardziej „medialnej" miejscowości jak Bartne czy Krempna, a nawet połączenia jej z olchowieckim Kermeszem[25]. „Od Rusal do Jana" przetrwało jednak najgorszy okres głównie dzięki determinacji Teodora (Fedora) Gocza oraz działaczy skupionych w Towarzystwie na Rzecz Rozwoju Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej. W ciągu ostatnich kilku lat impreza staje się coraz bardziej popularna wśród turystów, którzy tłumnie zjeżdżają na barwne występy.

Jednak święto w Zyndranowej to nie tylko zabawa przy muzyce ale także wykłady na temat lokalnych tradycji oraz możliwość spotkania twórców łemkowskich. W 1996 r. spotkanie poprzedził trwający prawie 2 tygodnie plener rzeźbiarski. Prace na nim powstałe wzbogaciły zbiory Muzeum.

[22] Ibidem, s. 6.
[23] E. Słyś- Janusz, Nad rzeką Panną, Krosno 1998, s. 59.
[24] Ibidem.
[25] Łemkowskie lato, „Dziennik Polski", 26.06.1995, s. 7.

Zdecydowanie bardziej niszowy charakter ma organizowana od 1992 r. w Gorlicach przez Stowarzyszenie Łemków i Stowarzyszenie „Ruska Bursa" Łemkowska Jesień Artystyczna. Spotkanie ma na celu przede umożliwienie wymiany doświadczeń i poglądów łemkowskim artystom z Polski i z zagranicy. Nie pojawiają się tutaj znane i barwne zespoły folklorystyczne. Jest za to miejsce na rzeczową dyskusję i prezentację swojego dorobku kulturalnego. Każda „Jesień" odbywa się pod innym hasłem, z którym związany jest główny trzon jego programu. Składają się na niego wystawy, wykłady, koncert oraz spotkanie z miłośnikami kultury łemkowskiej[26]. Najważniejsza jest tu jednak możliwość nieoficjalnych dyskusji, podczas których rodzą się nowe pomysły i plany artystyczne.

Podobny profil, ale zdecydowanie większy zasięg ma Międzynarodowe Biennale Kultury Łemkowskiej/Rusińskiej odbywające się w Krynicy Zdroju. Organizuje je Stowarzyszenie Łemków przy współudziale Stowarzyszenia „Ruska Bursa" oraz Międzynarodowej Rady Rusinów. Odbywające się od 1998 r. co dwa lata spotkania łemkowskich twórców z Polski, Słowacji, Czech, Chorwacji i Słowenii mają na celu przede wszystkim manifestację odrębności kulturowej i narodowej Rusinów. Impreza wpisała się już na stałe do kalendarza atrakcji kulturalnych Krynicy Zdroju. Na scenie w Pijalni Głównej prezentują się zespoły z uczestniczących w Biennale krajów, hall zmienia się w galerię prac rusińskich twórców[27]. Ważną częścią spotkania jest dyskusja panelowa dotycząca aktualnych problemów w rozwoju kultury Łemków/ Rusinów. Uczestnicy nie zapominają o jednym z najważniejszych łemkowskich artystów, Epifaniuszu Drowniaku (Nikiforze). Każde Biennale rozpoczyna się od uroczystej panachydy odprawianej przy jego grobie.

Jedną z najnowszych, ale mającą duże szanse na dynamiczny rozwój kulturalna inicjatywą na Łemkowszczyźnie jest organizacja szlaku Maziarskiego Łosie- Szymbark. Jego początkiem był projekt „To, co nas łączy", zrealizowany w 2005 roku przez Zjednoczenie Łemków przy pomocy gminy Ropa. Idea powstania szlaku związana była z tradycjami wyrobu mazi i dziegdziu oraz innych produktów ropopochodnych w Łosiu oraz pobliskiej Bielance. Proceder ten sięgał przełomu XVII i XVIII w., jednak dopiero wiek XIX przyniósł mu prawdziwy rozkwit. Mieszkańcy Łosia zaczęli się nim wtedy trudnić na skalę masową. Początkowo najbardziej rozpowszechniona maź drzewna została z czasem zastąpiona przez produkty ropopochodne, pozyskiwane z prymitywnych kopanek jak i naturalnych jej wypływów[28]. Substancji tych używano do impregnowania drewna, smarowania osi wozów, a także jako lekarstwa na różnorodne choroby. Maziarze z Łosia swoimi wozami odbywali podróże handlowe docierając aż do terenów dzisiejszej Estonii na północy czy Rumunii na południu. Zyski z tego zajęcia pozwoliły wsi wybić się ponad sąsiednie osady. Mieszkańcy Łosia mieli liczne kontakty w kraju i za granicą, przywozili z podróży wiadomości o świecie i rozmaitych nowinkach technicznych i cywilizacyjnych. Stąd w miejscowości wyższy był także poziom życia, a Łosianie uważali się za lepszych od sąsiadów z Klimkówki, Kunkowej czy Leszczyn.

W 2005 r. Zjednoczenie Łemków współpracując z gminami Ropa i Uście Gorlickie oraz Miastem Bardejów na Słowacji zrealizowało projekt „To co nas łączy". Jego osią było zorganizowanie przejazdów Maziarskim wozem na trasie Łosie- Nowica- Przysłup- Gładyszów- Smerekowiec- Skwirtne- Zdynia- Konieczna- Chmelova- Zborov- Bardejovskie Kupele- Stebnik- Blechnarka- Wysowa- Ropki- Hańczowa- Uście Gorlickie- Klimkówka- Łosie[29]. Przejazd połączony był ze zwiedzaniem cerkwi znajdujących się na Szlaku Architektury Drewnianej, degustacją regionalnych potraw i występami zespołów regionalnych.

W kolejnych latach przejazdy Maziarskim wozem weszły na stałe do atrakcji turystycznych regionu. Na początku lata odbywa się uroczysta inauguracja przejazdów, połączona z występami zespołów folklorystycznych. Ośrodkiem przewozów stała się Bielanka, gdzie można wynająć wóz i odbyć nim podróż na dowolnej

[26] por. http://www.stowarzyszenielemkow.pl/modules/news/article.php?storyid=10, 4.04.2009, http://ruskabursa.org/aktualnosci_article.php?id=6&page=6&lang=, 4.04.2009.

[27] A. Łuczkowie: Święto kultury łemkowskiej w Krynicy, http://www.stowarzyszenielemkow.pl/modules/articles/article.php?id=2, 6.04.2009.

[28] M. Brylak- Załuska, Maziarska wieś Łosie, Wrocław- Warszawa 1983, s. 22- 23.

[29] http://www.ropa.iap.pl/?id=41126&location=f&msg=1, 16.05.2009.

trasie. Zainteresowanie turystów jest spore. W czasie jazdy poznają oni historię maziarstwa opowiadaną przez powożących[30].

Ostatnie kilkanaście lat przyniosło wysyp różnego rodzaju imprez kulturalnych organizowanych na Łemkowszczyźnie. Jest to związane ze swoistą modą na etniczność, jaka zapanowała zarówno wśród turystów jak i przedstawicieli mniejszości narodowych. Większość miejscowości organizuje swoje „mini-święta" związane najczęściej z uroczystościami religijnymi. Pojawiają się też inicjatywy o szerszym zasięgu. Niektóre z nich umierają z braku funduszy, innym udaje się przetrwać i wzbogacić krajobraz kulturowy regionu na dłużej. Dla turystów są one najczęściej kolejną atrakcją podczas pobytu w górach. Jednak dla samych Łemków jest to sposób na manifestację swojej odrębności, zaprezentowania bogatych tradycji czy wreszcie spotkania w gronie dawnych i obecnych mieszkańców Łemkowszczyzny.

Działalność wydawnicza

W okresie PRL-u sprawy łemkowskie nie były poruszane w oficjalnej prasie. Nie było w niej też miejsca dla języka łemkowskiego. Jedyny wyjątek stanowiła „Łemkiwska Stronyczka", jedna kolumna wydzielona w „Naszym Słowie", organie prasowym Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno Kulturalnego. Pewne ożywienie w tej dziedzinie nastąpiło w latach osiemdziesiątych, jednak wciąż brakowało łemkowskich czasopism jak i literatury w tym języku. Prawdziwe zmiany przyniósł dopiero rok 1989. Likwidacja cenzury oraz odgórnego nadzoru nad wydawnictwami umożliwiły rozwój piśmiennictwa związanego z mniejszościami narodowymi, w tym z Łemkami.

Po 1989 r. zaczęły się ukazywać zarówno czasopisma łemkowskie jak i pozycje książkowe w ich języku. Pierwszy periodyk wydało Stowarzyszenie Łemków. „Besida", formalny organ Stowarzyszenia ukazywała się początkowo jako kwartalnik, z czasem stając się dwumiesięcznikiem. Siedziba redakcji znajduje się w Krynicy, a na jej czele stoi Piotr „Murianka" Trochanowski.

Zadaniem „Besidy" jest przedstawianie kultury łemkowskiej w aspekcie jej przynależności do rusińskiego kręgu kulturowego[31]. Z tego względu zdecydowana większość artykułów publikowana jest w języku łemkowskim, choć zdarzają się także teksty po polsku. Główne działy czasopisma to wiadomości z Łemkowszczyzny- przede wszystkim w formie przedruków, tłumaczeń z polskiej prasy opatrzonych komentarzami redakcyjnymi, informacje o działalności Stowarzyszenia Łemków, eseje historyczne i kulturoznawcze, utwory literackie i poetyckie współczesnych twórców łemkowskich, recenzje nowości wydawniczych oraz dodatek dla dzieci „Łemkiwska Łastiwoczka".

Swój organ prasowy posiada także Zjednoczenie Łemków. Jest nim ukazująca się od 1992 roku „Watra". Siedzibą redakcji, na której czele stoi Piotr Szafran jest Hańczowa. Teksty ukazujące się w kwartalniku ukazują historię, kulturę i teraźniejszość Łemków na tle historycznego rozwoju Ukrainy. Językiem czasopisma jest „łemkowski dialekt języka ukraińskiego"[32]. „Watra" przybliża czytelnikom problemy społeczności łemkowskiej zarówno w Polsce jak i poza jej granicami- na Słowacji, Ukrainie, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Duży nacisk położony jest na publikacje utworów literackich i poetyckich łemkowskich twórców. Sporo uwagi poświęca się także działalności Zjednoczenia Łemków i imprezom przez nie organizowanym.

Od 1994 swój kwartalnik pod tytułem „Zahoroda" wydaje Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej. Jest on nakierunkowany przede wszystkim na prezentacje wyników badań poświęconych etnografii i historii, kulturoznawstwu, obrzędowości oraz tradycjom Łemkowszczyzny[33]. Redaktorem naczelnym czasopisma jest Władysław Graban.

Po 1989 roku znacznemu ożywieniu uległo także życie literackie. Można w nim wyróżnić trzy główne nurty: ludowy, tęsknoty za utraconą ojczyzną i autoprezentacyjny[34]. Obecnie najsilniejszą pozycję zdobył sobie trzeci z nich. Jego twórcy próbują odpowiedzieć na pytanie co to

[30] VIP-y turystyki na Maziarskim wozie, „Gazeta Krakowska" dodatek Gazeta Gorlicka, 7.10.2008, s. 2.

[31] http://www.stowarzyszenielemkow.pl/modules/smartsection/item.php?itemid=11, 4.04.2009.

[32] http://www.lemkounion.com/wydawnictwa.html, 5.04.2009.

[33] J. Albin, op. cit., s. 280.

[34] M. Misiak, Łemkowie: w kręgu badań nad mniejszościami etnolingwistycznymi w Europie, Wrocław 2006, s. 113.

znaczy być Łemkiem współcześnie. Zalicza się do niego między innymi Helenę Duć – Fajfer (*W modlitewnym bluźnierstwie*), Władysława Grabana (*Rozsypane pejzaże, twarz pośród cieni, Na kołpaku gór, Znaleźć równowagę duszy*), Pawła Stefanowskiego (*Łemkowski pejzaż, Łem Łemkowyna, Łemkowski ból*), Stefanię Trochanowską (*Nie pozwól uschnąć kwiatom, Wierzbina, Motyle*), Piotra „Muriankę" Trochanowskiego (*Suchy badyl, Jak sokół Fajfem kamienia, Płanetnicy*), Jarosława Zwolińskiego (*Znaki czasu*).

Literatura łemkowska publikowana jest przede wszystkim przez Sądecką Oficynę Wydawniczą. Swoją własną działalność w tym kierunku prowadzą także organizacje łemkowskie. Są to zarówno pozycje czysto literackie, jak na przykład wydane przez Zjednoczenie Łemków wiersze Jakiwa Dudry „ Gwiazdy na skibach", jak również zbiory pieśni, prace etnograficzne czy reprinty utworów powstałych w dwudziestoleciu międzywojennym[35].

Zespoły muzyczne kultywujące łemkowskie tradycje

W okresie PRL-u Łemkowie mogli prezentować swoja kulturę jedynie jako dodatek do kultury ukraińskiej. Jednak nawet wtedy działały amatorskie zespoły śpiewające dawne pieśni, przypominające zapomniane obrzędy czy tradycje. Brakowało im odpowiednich strojów, instrumentów, ale nigdy zapału chęci do śpiewania i muzykowania.

Pierwszym profesjonalnym łem-kowskim zespołem folklorystycznym stał się Zespół Pieśni i Tańca „Łemkowyna" założony w 1969 w Bielance przez Jarosława Trochanowskiego. Jego podstawowym zadaniem stało się utrwalenie, opracowanie i upowszechnienie łemkowskich pieśni ludowych i kościelnych[36]. Koncerty grupy na Podkarpaciu i Ziemiach Zachodnich odniosły prawdziwy sukces. Jednak z powodu niechętnego stanowiska Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno Kulturalnego oraz wyjazdu Trochanowskiego z Bielanki jego działalność uległa zawieszeniu, ograniczając się jedynie do sporadycznych występów grupy kolędniczej. Poprawę sytuacji przyniósł dopiero początek lat osiemdziesiątych, kiedy możliwa stała się reaktywacja zespołu. Kolejną znaczącą zmianę na lepsze przyniosły przemiany roku 1989. Po odzyskaniu przez Stowarzyszenie „Ruska Bursa" historycznej siedziby w Gorlicach udostępniono mu część pomieszczeń na próby oraz magazyn strojów i rekwizytów. Rozpoczął się także intensywny nabór nowych członków rekrutujących się głównie spośród młodzieży uczęszczającej w Bursie na lekcje języka łemkowskiego. „Łemkowyna" zaczęła także nagrywać swój repertuar. Od czasu założenia w 1969 r. zespół zagrał już ponad 800 koncertów. Działalność jego założyciela Jarosława Trochanowskiego została w 2008 r. doceniona przez władze powiatu gorlickiego, które przyznały mu doroczną nagrodę „Mosty Starosty" za twórczy rozwój łemkowskiego folkloru[37].

Z kręgu „Łemkowyny" wywodzi się Julia Doszna, mieszkająca w Łosiu łemkowska pieśniarka. Prowadzi przy tamtejszej parafii grekokatolickiej dziecięcy zespół „Wereteno". Stara się ocalić od zapomnienia najstarsze pieśni łemkowskie, które sama opracowuje. Wydała trzy płyty: „Z kolędami po Karpatach", „Czoho płaczesz" i „Tam na Łemkowynie", która w 2000 r. została laureatem Folkowego Fonogramu Roku.

W 1997 r. w Gorlicach przy Stowarzyszeniu Promocji Kultury Łemkowskiej powstał zespół „Serencza". Założyli go Romek Korbicz, Piotr Kwoka i Mirek Trochanowski. Liczaca 9 osób grupa bazuje na tradycyjnych pieśniach i melodiach łemkowskich, ale wprowadza do nich nowe aranżacje sprawiając, że odchodzą one od pojęcia folkloru, a wpisują się w nurt muzyki folkowej[38]. Muzycy często wprowadzają do swoich utworów domieszki rytmów z różnych stron świata. Sprawia to, że są one łatwiejsze w odbiorze dla słuchaczy spoza łemkowskiego kręgu kulturowego. Zespół nagrał jak dotąd jedną płytę „Pid obłoczkom".

W chwili obecnej właściwie w każdej wsi zamieszkiwanej przez Łemków działa chór, zespół lub kapela kultywująca miejscowe tradycje muzyczne

W szkołach powstają grupy dziecięce i młodzieżowe. Warto wymienić tu choćby „Terkę" z Olchowca, „Ruczaj" z Sękowej, „Wereteno" z Łosia, „Osławian" z Mokrego czy chór Zoria z Uścia Gorlickiego. Wszystkie one są ważnymi ogniwami w zachowaniu ciągłości kulturowej Łemków w Beskidzie Niskim.

[35] http://www.lemkounion.com/wydawnictwa.html, 5.04.2009.
[36] J. Albin: op. cit., s. 275.
[37] http://www.wrotamalopolski.pl/root_kultura/wydarzenia/aktualnosci/2008/02/mostyrozdane.htm, 5.04.2009.
[38] http://www.serencza.pl/index.php. 5.04.2009.

Krystyna Wnuk

Cmentarz wojenny nr 51 na Rotundzie nad Regietowem Niżnym jako przykład twórczości Dušana Jurkoviča w Beskidzie Niskim

Działania w ramach I wojny światowej na terenie Galicji Zachodniej rozpoczęły się w sierpniu 1915 r., kiedy wojska austro-węgierskie stanęły naprzeciw armii rosyjskiej. Plan Komitetu Dowództwa Armii Rosyjskiej zakładał m. in. przekroczenie Karpat i uderzenie w kierunku Wiednia, co przy powodzeniu akcji znacząco mogłoby zmienić przebieg wojny. W wyniku starć Rosjan z oddziałami austro-węgierskimi na przełomie 1914 i 1915 oraz podjętej, przy znacznym wsparciu wojsk niemieckich, Operacji Gorlickiej teren Karpat pokrył się licznymi pobojowiskami. Pojawiła się potrzeba uregulowania spraw grobownictwa wojennego, grzebania i ewidencji poległych, miejsc pochówku oraz opieki nad grobami. W związku z tym 3 XII 1915 r. utworzono IX Oddział Grobów Wojennych, którego działalność zaowocowała utworzeniem 400 cmentarzy w Galicji Zachodniej, na których, co wyjątkowe, grzebano żołnierzy bez względu na przynależność do armii i wyznanie. Teren działań podzielono na 11 okręgów. Kierownikiem artystycznym pierwszego z nich został Dušan Jurkovič, słowacki architekt tworzący w stylu nawiązującym do form słowiańskich. Żył on w latach 1868-1947. Studiował architekturę na wiedeńskiej Kunstgewerbeschule, wykazując zainteresowanie ludowymi formami drewnianymi. W latach 90 XIX w. wykonał m.in. projekty zespołu schronisk turystycznych w Beskidzie Śląsko-Morawskim, na początku XX w. Drogę Krzyżową na górze Hostyn koło Ołomuńca, której formy przypominały góralskie kapliczki, willę „U Rezku", a w latach 30. - stację kolei liniowej w Tatrzańskiej Łomnicy. W Polsce, w ramach działalności w Oddziale Grobów Wojennych zaprojektował 31 cmentarzy. Na przykładzie bodaj najbardziej charakterystycznej nekropolii jego projektu – cmentarza nr 51 na Rotundzie nad Regietowem Niżnym – chciałabym zwrócić uwagę na specyficzny wojenny artyzm towarzyszący wznoszeniu grobów żołnierskich.

STAN BADAŃ

Na temat wspomnianego cmentarza nie powstała dotąd żadna praca monograficzna. Natomiast często wymieniany jest on w szerszych wydawnictwach, dotyczących cmentarzy wojennych w Galicji Zachodniej, jako typowy i reprezentacyjny przykład twórczości Dušana Jurkoviča.

Ważną pozycją jest dzieło pt. *Zachodniogalicyjskie groby bohaterów z lat wojny światowej 1914-1915* autorstwa majora Rudolfa Brocha i kapitana Hansa Hauptmanna opublikowane przez Ministerstwo Wojny w Wiedniu w 1918 r., a w języku polskim wydane w Tarnowie w 1995 r. Jest to całościowe opracowanie wszystkich cmentarzy Galicji Zachodniej, szczególnie ważne z tego względu, iż powstało już w fazie ich budowania. Co ciekawe, adresowane było przede wszystkim do rodzin poległych, stanowiąc rodzaj przewodnika i informatora. Zawiera ono drobiazgowe opisy, plany, a czasem fotografie cmentarzy, w tym dość poetycki opis nekropolii na Rotundzie. Ukazuje on, jak ważne były dla koordynatorów całej akcji symboliczne treści poszczególnych elementów architektonicznych czy krajobrazowych, mające na celu upamiętnienie poległych. Wydawnictwa takie jak *Cmentarze I wojny światowej w Galicji Zachodniej* Oktawiana Dudy, czy *Galicyjskie cmentarze wojenne* Romana Frodymy z lat 90. XX wieku są kolejnymi zestawieniami opisów cmentarzy I wojny światowej, w tym Rotundy. Różnią się one między sobą nieznacznie, m.in. podawaną liczbą pogrzebanych tam żołnierzy austriackich: Frodyma twierdzi, że było ich 42, zaś Duda – 34. Dodatkowo Roman Frodyma cytuje stworzoną przez Hansa Hauptmanna inskrypcję, umieszczoną na wzgórzu Rotundy. Natomiast w dziele Oktawiana Dudy zestawienie nekropolii opatrzone jest obszernym wstępem, przedstawiającym nie tylko tło historyczne całej akcji tworzenia cmentarzy wojennych, lecz także opisującym kulisy ich powstawania, a więc sposób organizacji pracy, rodzaj użytych materiałów, dane dotyczące ewidencji poległych, metody pozyskiwania środków finansowych oraz – co stanowi o wyjątkowości tej pozycji – aspekty artystyczne prac. Znajdziemy tu rozdziały dotyczące m. in.: twórców cmentarzy, ich inspiracji, symboliki grobu i cmentarza wojennego, zieleni cmentarnej, epitafiów i inskrypcji na tablicach nagrobnych oraz oprawy architektonicznej cmentarzy. Ułatwia to ocenę wartości artystycznej

cmentarza na Rotundzie oraz odczytanie symboliki jego elementów.

Dużym zainteresowaniem cieszy się omawiany obiekt w środowisku studenckich kół przewodnickich, a szczególnie SKPB Warszawa. Jego przewodnicy od lat publikują w roczniku *Magury* materiały dotyczące cmentarza na Rotundzie, a od 2001 r. podjęli tam działalność remontową, co przyczyniło się również do powstawania nowych artykułów na ten temat, autorstwa m. in. Mirosława Łopaty, czy Andrzeja Piecucha. Ten ostatni w artykule z 2001 r. Cm*entarze wojenne Dušana Jurkoviča w Beskidzie Niskim* porusza problematykę lokalizacji tak okazałego obiektu, jakim jest cmentarz nr 51, w stosunkowo mało wyeksponowanym miejscu. Wzgórze jest widoczne z wielu punktów, istniały jednak inne, bardziej reprezentatywne lokalizacje. Autor wysuwa przypuszczenie, że być może pięć gontyn ustawionych na wzgórzu Rotundy miało nawiązywać do pięciu makowic powstającej w tym czasie w pobliskiej Klimkówce cerkwi, łącząc tym samym symbolicznie cmentarz z miejscową tradycją i mieszkańcami. Proponuje także inną tezę związaną z nazwą góry – słowo rotunda oznacza budowlę w układzie centralnym, wzniesioną na planie koła, natomiast zarówno zarys szczytu Rotundy, jak i plan założenia cmentarnego jest centralny. W innym artykule tego samego numeru rocznika *Magury* jego redaktor Aneta Załuga, zachęcając do renowacji cmentarza, opisuje krótko jego historię i stan zachowania. Wspomina także, że obiekt został w 1980 r. wpisany do rejestru zabytków. Jednakże dostępna obecnie na oficjalniej stronie Krajowego Ośrodka Badań i Dokumentacji Zabytków lista nie wymienia tego cmentarza.

Opisy omawianej nekropolii można też spotkać w przewodnikach turystycznych, m. in. W pozycji wydawnictwa Rewasz.

HISTORIA

Historia powstania cmentarza na Rotundzie wpisana jest w akcję tworzenia w latach 1915-1918 cmentarzy wojennych podjętą przez Oddział Grobownictwa Wojennego na terenie austriackiego okręgu wojskowego „Galicja Zachodnia". Omawiany obiekt należy do okręgu nr I – Żmigród, którego kierownikiem artystycznym był słowacki architekt Dušan Jurkovič. Przybył on na teren Beskidu Niskiego w 1916 r., zaś prace budowlane zostały ostatecznie zakończone 31 X 1918 r. wraz z rozpadem monarchii austro-węgierskiej i w tym przedziale czasowym należy sytuować powstanie cmentarza nr 51. Wydaje się, że można zawęzić to datowanie do samego roku 1916 – na fotografii ze zbiorów Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach przedstawiony jest stan cmentarza z tego właśnie roku, wskazujący na ostatnią fazę jego tworzenia. Pochowano tu 42 żołnierzy austro-węgierskich, którzy służyli głównie w 1. Pułku Cesarskich Strzelców Tyrolskich, 36. Pułku Piechoty z Mlada Boleslav w Czechach, 59. Pułku Piechoty "Rainer" z Salzburga w Austrii, 1. Pułku Piechoty Landwehry z Wiednia, 25. Pułku Piechoty Landwehry i 12 Rosjan głównie z 193. Swijażskiego Pułku Piechoty, poległych w lutym i marcu 1915 r. Po zakończeniu działań Oddziału Grobownictwa Wojennego na nekropolii długo nie podejmowano żadnych prac, które mogłyby zapobiec destrukcyjnemu działaniu czynników atmosferycznych. Co więcej, tuż po zakończeniu II wojny światowej wojsko strzegące pogranicza na najwyższej z gontyn ulokowało punkt obserwacyjny, demontując przy tym wieńczący ją krzyż. Przez lata cmentarz stopniowo popadał w ruinę, zaś wzgórze zarosło krzewami i drzewami. Wg informacji podanej przez Anetę Załugę w czasopiśmie *Magury*, cmentarz ten wpisany został w 1980 r. do rejestru zabytków, nie pociągnęło to jednak za sobą żadnych prac remontowych. W 1995 r., w osiemdziesiątą rocznicę Operacji Gorlickiej, powstała inicjatywa odbudowy cmentarza przy pomocy Austriackiego Czarnego Krzyża, społecznej organizacji opiekującej się grobami żołnierskimi, jednak prace z braku funduszy ograniczono jedynie do oczyszczenia terenu z drzew i krzewów. Na początku XXI w. cmentarz znajdował się w stanie ruiny. Dzięki akcji warszawskiego SKPB, które założyło Społeczny Komitet Odbudowy Cmentarza na Rotundzie od 2001 r. prowadzone są działania renowacyjne. Do inicjatywy dołączyli się też miłośnicy cmentarzy wojennych z Gorlic, m.in. Waldemar Hübner – artysta malarz oraz Leszek Brzozowski – dyrektor Regionalnego Muzeum PTTK w Gorlicach. Pierwszy obóz porządkowy odbył się latem 2002 roku, udało się pod kierownictwem Anety Załugi – prezesa Stowarzyszenia – przywrócić do pionu i zabezpieczyć butwiejące krzyże nagrobne oraz oczyścić i uporządkować 3 z 4 grup mogił. Oczyszczono także mur kamienno–ziemny otaczający cmentarz z porastającej go roślinności. W kwietniu 2003 r. Stowarzyszenie zorganizowało spotkanie, które poskutkowało wieloma inicjatywami. Architekci Tomasz Sus i Mariusz Rams z pracowni projektowej „studio 2,26"

nieodpłatnie wykonali projekt architektoniczny rekonstrukcji cmentarza. Także w wyniku tego spotkania udało się pozyskać do współpracy Zdzisława Tyburczego, który w ciągu lata 2003 r. wykonał na Rotundzie pomiary geodezyjne, a następnie na ich podstawie mapę sytuacyjno-wysokościową do celów projektowych. W 2003 r. wzmożono również starania o pozyskanie funduszy na dalsze etapy remontu. Przeprowadzono zbiórkę publiczną, na której potrzeby Waldemar Hübner wydał własnym staraniem pocztówkę przedstawiającą cmentarz na Rotundzie, przeznaczając dochód z jej sprzedaży na odbudowę. Prócz tego Austriacki Czarny Krzyż wsparł działalność renowacyjną kwotą 2200 euro. Pieniądze te przeznaczono na wykonanie 24 nowych krzyży nagrobnych oraz tablic z nazwiskami pochowanych. Decyzja, co do sposobu wykorzystania tych środków była oparta głównie na przekonaniu, iż ważniejsze, niż konserwacja elementów architektonicznych, jest upamiętnienie poległych żołnierzy. W 2007 r. nastąpił kolejny przełom: ze środków podarowanych przez Republikę Czeską oraz pozyskanych od Wojewody Małopolskiego Gmina Uście Gorlickie wykonała rekonstrukcję jednej z 4 mniejszych gontyn. Także w ciągu 2007 r. Stowarzyszenie Aktywnej Ochrony Cmentarzy mniejszych I Wojny Światowej w Galicji CRUX GALICIAE na podstawie badań archiwalnych i kwerend muzealnych przedstawiło kierownikowi nowosądeckiej Delegatury Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków uwagi i wnioski odnośnie dokumentacji odbudowy cmentarza. Dzięki temu, jeżeli tylko uda się pozyskać środki na dalszą odbudowę obiektu, cmentarz ten może stać się najwierniej zrekonstruowanym miejscem pochówku żołnierzy I wojny w Beskidzie Niskim. Latem 2009 r. cmentarz posiadał już dwie odnowione gontyny, istnieją też plany odsłonięcia szczytu wzgórza, tak by obiekt ponownie był widoczny z daleka.

OPIS

Opis omawianego obiektu będzie dotyczył jego pierwotnego wyglądu, zgodnego z zamierzeniami jego twórcy, w celu zwrócenia uwagi na jego wartości symboliczne i artystyczne. Obecny stan zachowania zostanie jedynie zasygnalizowany poprzez zastosowanie form przeszłych dla elementów zniszczonych bądź nie-istniejących.

Cmentarz nr 51 położony jest na wysokości 771 m. n.p.m., na szczycie pierwotnie niezalesionego wzgórza Rotunda ponad wsią Regietów Niżny w gminie Uście Gorlickie. Zarówno jego plan jak i kompozycja przestrzenna jest centralna. Cmentarz założony jest na rzucie okręgu o średnicy ok 36 m., a jego obszar zakreśla kamienne ogrodzenie, którego linia przerwana jest od północy otworem wejściowym, nad którym niegdyś znajdowała się drewniana bramka w postaci gontowego daszku na słupach. Element centralny stanowi grupa czterech ustawionych w kwadrat gontyn z piątą ulokowaną na przecięciu przekątnych tego kwadratu; środkowa wieża miała pierwotnie 16 m wysokości, zaś pozostałe po 12 m. Wszystkie wieże posadowione były na kamiennych podmurówkach. Na nich osadzono słupowe konstrukcje w formie zwężających się ku górze obelisków obitych gontem. Całość zwieńczono krzyżami z blaszanymi półkolistymi daszkami ze spływami wolutowymi oraz wzmocnieniami konstrukcyjnymi w polach między ramionami. Każda z wież posiadała trzy gontowe daszki pulpitowe na każdej swej ścianie – ponad podmurówką, w 2/3 wysokości oraz w części szczytowej łączącej się z krzyżem. Wokół grupy centralnej rozmieszczone są rytmicznie mogiły: 20 indywidualnych podzielonych po pięć na cztery grupy, rozdzielone na wschodzie, południu i zachodzie trzema mogiłami zbiorowymi oraz na północy otworem wejściowym. Czwarta wyróżniona mogiła - grób oficerski - ulokowana jest na osi wejście – główna gontyna – mogiła zbiorowa, przed pomnikiem centralnym; przy niej ustawiona jest kamienna tablica z wykutym krzyżem maltańskim oraz inskrypcją autorstwa Hansa Hauptmanna, zapisaną w języku niemieckim. W tłumaczeniu na język polski brzmi ona następująco:

Nie płaczcie, że leżymy tak z dala od ludzi,
A burze już nam nieraz we znaki się dały -
Wszak słońce co dzień rano tu nas wcześniej budzi
I wcześniej okrywa purpurą swej chwały.

Każdy z grobów posiada prostokątne wydzielone pole i opatrzony jest drewnianym krzyżem jedno lub dwuramiennym, w zależności od wyznania poległych. Ramiona oraz pionowa belka krzyży przekryte są gontowymi daszkami dwu-spadowymi. Do każdego też dołączona jest tabliczka określająca imię, nazwisko, stopień wojskowy oraz datę zgonu pochowanego. Krzyże nad mogiłami zbiorowymi są nieco większe.

ANALIZA

Przy analizie cmentarza wojennego istotne jest, by spojrzeć na niego jako na skończoną całość.

Karpackie nekropolie nie miały być nigdy zmieniane, czy rozbudowywane. Stanowią niejako pomniki żołnierskiej chwały i jako takie zostały zaprojektowane. Stąd też wyraźna jest różnica między tymi cmentarzami wojennymi, a komunalnymi. Charakterystyczną cechą galicyjskich cmentarzy jest uwypuklanie pewnych elementów stałych, poprzez które zyskują one szczególne znaczenie symboliczne; cmentarz na Rotundzie w pełni wpisuje się w ten schemat: Sam układ przestrzenny cmentarza wojennego nawiązuje do koncepcji wojskowego ładu, a jednocześnie jest symbolem miejsca poświęconego. Zawsze wyraźnie zaznaczone ogrodzenie ma symbolizować granicę między światem doczesnym i pozaziemskim, zaś brama ma być łącznikiem między nimi. Krzyże stanowią oczywiste odniesienie religijne, lecz przypominają także o ofierze poniesionej przez żołnierzy. Cmentarz na Rotundzie posiada przy tym pewne wyjątkowe cechy. W kompozycji planu cmentarza zwraca uwagę zastosowanie foremnych figur geometrycznych: koła i kwadratu oraz formy równoramiennego krzyża. Kształtom tym przypisywana jest symbolika wieczności, nieskończoności i doskonałości. Ich zestawienie w tak specyficznym miejscu, jakim jest cmentarz wojenny nie może być przypadkowe. Forma krzyża przypomina, że żołnierze tam pochowani zginęli oddając swe życie za ojczyznę. Elementy nawiązujące do wieczności wskazują zaś, że polegli mogą oczekiwać nieskończonego życia po śmierci, a także, że ich chwała i pamięć o nich na ziemi nie zgaśnie. Najbardziej jednak przykuwającym wzrok elementem nekropolii jest grupa pięciu gontyn o trudnej do zdefiniowania genezie. Być może, jak twierdzi Andrzej Piecuch, ma ona związek z zainteresowaniem Dušana Jurkoviča cywilizacjami starożytnymi. Zarówno ideę rotundy przejawiającą się tu w planie nekropolii oraz nazwie góry, jak i kształt obelisku powielony w kształcie gontyn można wywodzić od form wypracowanych już w starożytności. W próbie odkrycia i zrozumienia pierwotnego zamysłu artysty należy cofnąć się do jego poprzednich realizacji, nie jest to bowiem pierwszy ani ostatni projekt Dušana Jurkoviča, w którym sięgnął do motywu gontyny - spotkany był wcześniej m. in. na cmentarzu nr 4 w Grabiu i nr 46 w Koniecznej. Gontowe wieże zawsze ustawione są w centralnym punkcie i silnie wyeksponowane, wyniesione ponad ziemię przez kamienne podmurówki. Najprawdo-podobniej więc kształt gontyny miał stanowić symbol trwałego pomostu między ziemią a niebem. Pewnym jest, że zastosowaniem drewna chciał Jurkovič nawiązać do wzorów sztuki słowiańskiej, które kreatywnie wykorzystywał i przetwarzał. Zostało to dostrzeżone przez nadzorujących prace cmentarne majora Brocha i kapitana Hauptmanna. Napisali oni: „Jeśli chodzi o drewniane krzyże nagrobne to powstawały liczne ich warianty. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić prace inż. landszturmu Dušana Jurkoviča, który po mistrzowsku panuje nad tym materiałem. Potrafił on motywowi krzyża nadawać za każdym razem wciąż nowy charakter, nigdy jednak nie zacierając jego istotnych cech". Jurkovič interesował się sztuką ludową i prowadził samodzielne badania etnograficzne, fascynowało go mistrzostwo góralskich cieśli, wykonujących drewniane elementy konstrukcji budowlanych. Wyraz swym pasjom dał już w 1895 r. kiedy to na ogólnokrajową Wystawę Krajoznawczą w Pradze zaprojektował tzw. wałaską chałupę, stając się pionierem muzealnictwa skansenowego późniejszej Czechosłowacji. W przypadku Rotundy poprzez drewniane konstrukcje Jurkovič wpisał swe dzieło w krajobraz. Czynnikiem stanowiącym o artystycznym wyrazie obiektów projektu Jurkoviča jest fakt, że nie umieszczał ich w miasteczkach, czy wsiach, w pobliżu drogi, lecz w głębi gór, w miejscu faktycznych pobojowisk. Artysta dostrzegał odmienność swych koncepcji i pisał sam o sobie: *...podczas gdy moi wiedeńscy koledzy w większości założyli swe cmentarze przy istniejących cmentarzach wiejskich, w pobliżu miast i osiedli, ja wolałem odległe wzgórza i zbocza w pobliżu miejsc, gdzie walczyły wrogie wojska. Gdy moi koledzy zakładali cmentarze jak parki wysypując alejki piaskiem, sadzili krzewy i kwiaty – ja zdecydowałem założyć je w naturalnej krasie terenu i karpackiego krajobrazu. Nie usypywałem sztucznie ich powierzchni i nie żwirowałem, ale wykładałem je darniną, która szybko tworzyła jeden zielony kobierzec, żywy i zespolony z otaczającą zielenią lasu czy górskiej łąki. Groby wydzieliłem naturalnym kamieniem, czasem ozdobiłem wrzosem lub polnymi kwiatami. To był sens i metoda moich prac*. Słowa te świadczą o dużej wrażliwości Jurkoviča na przyrodę i jej symboliczną wymowę; w swych realizacjach bliski był XIX-wiecznej, romantycznej koncepcji pejzażu emotywnego. Wpisanie omawianego obiektu w krajobraz dodatkowo podkreślone zostało zastosowaniem naturalnego budulca, jakim jest drewno. Dzięki temu niejako sama przyroda miała oddawać cześć poległym żołnierzom. Cmentarz na Rotundzie stanowił w założeniu całość ze wzniesieniem, na którym został zlokalizowany. Niezalesiony pierwotnie szczyt sprawiał, że Rotunda i gontyny

cmentarza były widoczne spod okolicznych cmentarzy (nr 56 w Smerekowcu, nr 57 w Uściu Gorlickim, nr 55 w Gładyszowie i nr 61 w Wirchnem), cerkwi i kościołów (m. in. w Uściu Gorlickim, Smerekowcu, Klimkówce) i wieńcząc osie dróg górowały nad okolicą. Wizję obelisków na wzniesieniu realizował zresztą nie tylko w drewnie: mogiła gen. Milana Rastislava Štefánika na wzgórzu Bradlo nad Brezową na Słowacji została przez Jurkoviča wykonana w 1928 r. z białego spiskiego trawertynu i jest bodaj najbardziej monumentalnym miejscem pochówku jego autorstwa. Wyraźny jest tu, jak i w cmentarzu na Rotundzie, zwrot ku romantycznej tradycji pomnika na wzgórzu, mającej swe korzenie jeszcze w kulcie pogańskim. Poprzez wyniesienie ponad krajobraz, cmentarz, będący sam w sobie miejscem pamięci i refleksji, zostaje dodatkowo gloryfikowany, zaś jego wyizolowanie, samotne trwanie i codzienna walka z żywiołami natury zmusza widza do zaangażowania emocjonalnego. Podobny efekt wywołuje obraz *Krzyż w górach* czołowego reprezentanta niemieckiego malarstwa romantycznego - Caspara Davida Friedricha: krzyż osadzony na skale pośród nielicznych jodeł, oświetlony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, poprzez swe osamotnienie wzbudza uczucie melancholii, wobec którego nie można pozostać obojętnym. Motyw słońca jest w omawianym obiekcie dodatkowo podkreślona inskrypcją autorstwa Hansa Hauptmanna: *... słońce co dzień rano tu nas wcześniej budzi i wcześniej okrywa purpurą swej chwały.* Przywołana jest tu gloryfikująca symbolika słońca, przynależna jednostkom wybitnym. Na tą warstwę symboliczną nakłada się kolejna, będąca odbiciem boskiej ingerencji i niejako nadprzyrodzonego zaangażowania w opiekę nad miejscem uświęconym krwią żołnierzy oraz nad nimi samymi. Ciekawa jest też koncepcja o symbolicznym dialogu pięciu gontyn cmentarza z pięcioma makowicami cerkwi w Klimkówce wysunięta przez Andrzeja Piecucha. Takie powiązanie mogłoby wskazywać na próbę dodatkowej sakralizacji obiektu oraz prowokowanie miejscowej ludności do ciągłej pamięci o poległych. Obecnie pierwotna cerkiew w Klimkówce nie istnieje, zniknęła pod wodą utworzonego tam zalewu, na brzegu postawiono zaś tylko jej nie do końca wierną kopię. Natomiast cmentarz na Rotundzie, choć powoli podnoszony jest z ruiny, to jednak pozostaje zasłonięty przez wyrosły przez lata las. Zmiana pierwotnego kontekstu obu tych obiektów skłania do refleksji nad poszanowaniem dziedzictwa, jakie przekazały nam poprzednie pokolenia. Rozważania nad formą, znaczeniem i intencjami twórców cmentarza nr 51 na Rotundzie wydaje się zasadne zakończyć ich własnymi słowami: *Na wznoszącym się na 776 m. wzgórzu Rotunda, pośród dzikiej i romantycznej, w cichej samotności zagubionej górskiej krainie, której odwieczne piękno pozostało nietknięte przez uporczywe i wściekłe zmagania ludzkie; wciśnięty w czoło wzgórza jak boskie znamię przebaczenia, spoczywa cmentarz pod szybującymi chmurami. Otacza go kołem potężny mur z ciosanego kamienia, któremu kontur wyznaczył kształt wzgórza. Ta bezwiedna symbolika wieczności znalazła swoją ciągłość w uroczystej grupie pięciu zwieńczonych krzyżami wież, tak blisko siebie skupionych jak gdyby chciały dać opór wszelkim dziejowym burzom. Dzieło ludzkie i przyroda stanowią tutaj jedno. Budowle wraz z cmentarzem bohaterów zdają się być stworzone w tysiącletnim procesie wzrastania – przez ziemię, które je dźwiga. Mur fundamentowy wciska się w szczeliny i wypukłości gruntu, jak gdyby cześć dla boskiego dzieła broniła budowniczemu wyrównać ziemię pod swe własne dzieło. Wierzchołek góry zdaje się wyłaniać z potężnego wieńca ogrodzenia jak z korony. Prawie bez ozdób, jedynie nieśmiało zaakcentowane szerokim i rozłożystym zadaszeniem, otwiera się przejście do wzniosłej warowni śmierci, przepełnionej świątynnym uroczystym nastrojem. Stopa kroczącego tonie w kobiercu z mchów. W bezszelestnej ciszy, pod pieczą okalającego cmentarza muru, śpią uwieńczone drewnianymi krzyżami mogiły...* Wyraźnie zatem intencją autorów było, aby odbiorcy ich przekazu odwiedzając cmentarz zostali emocjonalnie zaangażowani w wyłożone treści symboliczne, jakie nosi monument powstały wskutek połączenia pierwiastka działania ludzkiego z siłą naturalnego krajobrazu; to zaangażowanie miało wzbudzić indywidualny stosunek do historii tego miejsca, poczucie więzi z poległymi oraz wieczną pamięć i cześć dla nich.

BIBLIOGRAFIA

- **Broch R., Hauptmann H.**, *Zachodniogalicyjskie groby bohaterów z lat wojny światowej 1914-1915,* Tarnów 1995.
- **Duda O.**, *Cmentarze I wojny światowej w Galicji Zachodniej,* Warszawa 1995.
- **Forczek-Brataniec U., Brataniec M**., *Cmentarz na Rotundzie - widoki na przeszłość,* dostępny w

Internecie: http://www.cmentarze.gorlice.net.pl/rotunda_opracowanie.htm/

- **Frodyma R.**, *Galicyjskie cmentarze wojenne. Przewodnik. Tom I Beskid Niski i Pogórze*, Warszawa-Pruszków 1995.
- **Łopata M.**, *Cmentarz nr 51 – Rotunda,* dostępny w Internecie: http://www.cmentarze.gorlice.net.pl/okreg_1_cz2.htm#nr51/
- **Piecuch A.**, *Cmentarze wojenne Duszana Jurkowicza w Beskidzie Niskim*, „Magury", Warszawa 2001.
- **Załuga A.**, *Ratujmy cmentarz na Rotundzie!*, „Magury", Warszawa 2001.

Do poczytania

Bartosz Jemioła

Apteczka Wędrownika, czyli zioła pierwszej pomocy na szlaku

Gdy wyruszamy na jakąkolwiek wyprawę zapobiegawczo i profilaktycznie zabieramy ze sobą podręczną apteczkę pełną przeciw-bólowych, - ukąszeniom owadów, - oparzeniom, opatrunków… A co jeśli znajdziemy się w sytuacji gdy różnych powodów zabraknie nam podstawowych medykamentów? Wtedy można śmiało się zwrócić o pomoc do samej natury, która przecież kiedyś stanowiła podstawę do pozyskiwania różnego rodzaju leków…
Oferuje nam ona szeroki wachlarz możliwości, z których trzeba jednak korzystać ostrożnie i bezpiecznie, tak aby przyniosło nam to więcej pożytku niż szkody.

Geranium robertianum L. – Bodziszek cuchnący

Na pewno nieraz zdarzyło nam się poparzyć pokrzywą lub pogryzionym przez różnego rodzaju 'krwiopijców', co oczywiście powoduje pieczenie, swędzenie, kłucie. Jest to wynik jednej z reakcji obronnych organizmu, aczkolwiek jest dość dokuczliwe. W większości przypadków wystarczy

rozpuszczone wapno bądź maść, lecz co wtedy gdy nie mamy tego? Można się posłużyć świeżym, roztartym liściem w palcach wierzby (np. *Salix alba*), brzozy (*Betula pendula*), babki lancetowatej (*Plantago lanceolata*), bądź lipy (*Tilia cordata, T. platyphyllos*), które trzeba wytrzeć w miejsce ukąszenia. Jednak gdy jesteśmy uczuleni na jad owadów należy, lub gdy opuchlizna nadmiernie i szyko powiększa się należy wezwać pomoc medyczną, bowiem taki stan może doprowadzić nawet do uduszenia, bądź zatrzymania akcji serca (!).

Mentha longifolia L. - Mięta długolistna

Są też rośliny, który pozwalają uniknąć ukąszeń, nie mniej skutecznie niż syntetyczne repelenty, do nich należy np. bodziszek cuchnący (*Geranium robertianum*). Odstrasza skutecznie komary, występuję tam też, gdzie można się ich spodziewać – na podmokłych, wilgotnych terenach, wzdłuż strumieni w lasach, w parowach i jarach. Wydziela dość charakterystyczny zapach i roztarty w rękach oraz na skórze w najbardziej narażonych miejscach, chroni przez ok. 2-3h.

Częstokroć po trasie jesteśmy znużeni, a tym bardziej czujemy to w nogach i stopach. Z powodzeniem można zrobić sobie taki odwar:

1. liście brzozy (*Betula pendula*)
2. gałązki wierzby wraz z listkami (*Salix alba, S. purpurea*),
3. ziele krwawnika (*Achillea millefolium*)
4. mięta długolistna (*Mentha longifolia*)
5. nostrzyk żółty (*Mellilotus officinalis*)
6. małe, cienkie gałązki dębu (*Quercus robus*)
7. macierzanka, np. piaskowa (np. *Thymus serpyllum*)

Proporcje oczywiście zależą od dostępności na miejscu biwakowania lub z tego co już uda się profilaktycznie zebrać na trasie. Standartowo bierze się każdego ziela ‘garść’ i robi z niech wywar gotując w ok. 2l wody przez ok. 10 min, studzi się, i w chłodnej mieszance moczy nogi, stopy przez minimum 30 minut. Zioła ta działają przeciw zapalnie, odkażająco, przeciw bólowo, przyspieszają regeneracje, co jest pomocne w przypadku otarć i pęcherzy które już pękły.

Organum vulgare L. – Lebiodka pospolita

Na same otarcia, drobne rany, skaleczenia można spróbować zastosować również wyżej wymienione zioła, w taki sposób: świeże ziele krwawnika, macierzanki, lebiodki (dzikiego majeranku, *Origanum vulgare*), liście babki lancetowatej zmiażdżone lub starte w rękach można przyłożyć i owinąć np. na noc lub w przerwie w marszu. Mają one działanie przeciwkrwotoczne, odkażające i regenerujące. Przy pęknięciu pęcherza na stopie, bądź przy poważniejszym otarciu, można zastosować te zioła, nasączone dodatkowo wywarem z kłącza pięciornika (*Potentilla erecta*), gałązek dębu i nostrzyka:

2-3 kawałki kłącza pięciornika długości małego palca (pokrojone), garść gałązek dębu, i garść ziela nostrzyka gotuje się przez 5-7 minut, studzi i dodaje się do zgniecionych razem ziół (podanych wyżej) i przykłada się na ranę.

Można również w przypadku braku materiałów opatrunkowych użyć ziela nostrzyka, a owinąć liściem chrzanu pospolitego (*Armoracia rusticana)*.

W przypadku stłuczeń, siniaków, opuchlizn zastosowanie znajdzie żywokost lekarski (*Symphytum officinale*), świeży korzeń należy rozdrobnić (np. pokroić w cienkie paski) i przyłożyć na chore miejsce na dobę, następnie zmienić na świeży (bowiem twardnieje).

Do korzenia można dodać kwiatu nagietka lekarskiego (*Calendula officinalis*, niestety nie występuje dziko, ale często jest sadzony w wiejski ogródkach, skąd można go pozyskać, oczywiście za zgodą właściciela ;]) oraz zgniecionych liści wierzby bądź brzozy. Uwaga na koniec – wszystkie świeże części roślin umyć w wodzie i sparzyć wrzątkiem przed użyciem.

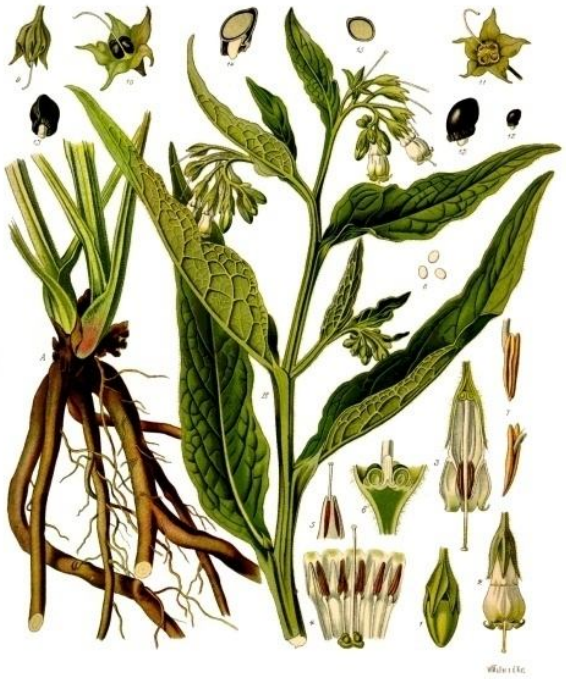

Symphytum officinale L. – Żywokost lekarski

A co robić jeśli zabraknie nam też podstawowych środków czystości, mydła, pasty do zębów? Tutaj również można liczyć na naturę – pewna roślina, mydlnica lekarska (*Saponaria officinalis*), rosnąca na terenach podmokłych, bagiennych, zalewowych zawiera naturalny, delikatny detergent. Zmiażdżone kłącze, bądź ziele można używać zamiast mydła, czy szamponu. Ponadto można sobie przygotować taką mieszankę:

1. ziele mydlnicy
2. liście lipy lub babki
3. krwawnik
4. liście łopaniu (*Arctium lappa*)

Zioła zmiażdżyć na kamieniu, dodać wody i ‘namydlić’ ciało taką mieszanką.

Zęby można pielęgnować w taki sposób: gałązkę świerku, sosny, jodły pozbawić igieł, rozgryźć koniec tak, aby uzyskać rodzaj miotełki i tym czyścić zęby. Oprócz mechanicznego usunięcia zanieczyszczeń, gałązka zapewni świeży oddech oraz odkazi jamę ustną. Dodatkowo można żuć ziele macierzanki np. piaskowej (*Thymus serpyllum*), lebiodki, czy mięty.

Melilotus officinalis L. – Nostrzyk żółty

Zdarza się też, że na wyjeździe dopadnie nas biegunka. Etiologii biegunki jest kilka, ale najczęstsza z nich wypicie zakażonej wody lub zjedzenia czegoś nieświeżego, co powoduje nadmierny rozwój bakterii w przewodzie pokarmowym i wytwarzanie przez nich enterotoksyny – substancji, która powoduje zatrzymywanie wody w jelitach. Organizm broni się przyspieszając perystaltykę, aby wydalić bakterie i ich toksyny. Najczęstszymi bakteriami wywołującym biegunki są:

- salmonella (rodz. *Salmonella*) - objawy (bóle brzucha, nudności ,często wymioty również) pojawiają się po 8-36 h po spożyciu zakażonych jajek i ich przetworów, lodów, wyrobów mleczarskich;
- gronkowiec złocisty (*Staphylococcus ureus*) objawy są podobne, ale nieco łagodniejsze, krótszy jest też okres wystąpienia – po ok. 6h;
- pałeczka okrężnicy (*Escherichia coli*) – po 1-2 dniach od spożycia zanieczyszczonej wody pojawiają się kurczowe bóle brzucha i biegunka bez gorączki
- laseczka jadu kiełbasianego (*Clostridium botulinum*) jest najgroźniejsza, bowiem jej toksyna upośledza ośrodek oddechowy, co może prowadzić nawet do śmierci (!), zatruć się można spożywając nieświeże mięso,

konserwy(także rybne i warzywne), ma też charakterystyczne objawy – silne osłabienie, podwójne widzenie, światłostręt, trudności w mówieniu i połykaniu, zaburzenia oddychania.

- wirusy – charakterystyczny jest krótki okres (kilka godzin) oraz wystąpienie gorączki.

Biegunki wywołane przez trzy pierwsze bakterie standartowo leczy się podając nifuroksazyd, flourochinolony, probiotyki oraz nawadniając organizm. Co jednak wtedy kiedy przytrafiła nam się przypadłość, a nie mamy żadnych środków przy sobie? Biegunki ustępują po 3-4 dniach nieraz samoistnie, a wspomagać i nieco przyśpieszyć ustąpienie uciążliwych objawów można przez zastosowanie: wywaru z kory dębowej (cienkie gałązki), kłącza pięciornika (wywary wedle przepisu podanych wyżej), naparu z mięty, dziurawca (*Hipericum perforatum*) owoców borówki czernicy (czarna jagoda, *Vaccinium myrtillus*), gorzkiej mocnej herbaty. Wszystkie te zioła zawierają garbniki – substancje które wiążą w jelitach toksyny bakteryjne i ograniczają napływ wody do środka jelita, natomiast owoce borówki wiążą również bakterie i ułatwiają pozbycie się ich. Ważne też jest ciągłe nawadnianie organizmu i uzupełnianie elektrolitów. Wyżej wymienione zioła można stosować oddzielnie bądź sporządzić taką mieszankę: kilkanaście cienkich gałązek dębu (do ok.. 2cm grubości) po obrać z kory, do tego 3-4 kawałki kłącza pięciornika długości małego palca u ręki (umytego, sparzonego wrzątkiem, pokrojonego), gotować przez 5-7 minut, następnie tym odwarem zalać ziele dziurawca i listki mięty, parzyć ok. 30 min., odcedzić i pić ciepłe (zimne płyny pobudzają ruchy jelit i biegunkę) 4-5 razy w ciągu dnia.

Takie leczenie nie może być stosowane (!) w przypadku podejrzenia o zatrucie jadem kiełbasianym, wtedy chory wymaga niezwłocznej hospitalizacji i podania antytoksyny botulinowej.
Jeśli biegunka lub objawy utrzymują lub nasilają się trzeba niezwłocznie zasięgnąć pomocy medycznej.
Częstokroć doznajemy oparzenia, czy to słonecznego czy choćby od ognia. W przypadku I stopnia oparzeń jeśli nie posiadamy nic w apteczce można złagodzić objawy (zaczerwienienie skóry, pieczenie, ale jeszcze brak bąbli surowiczych) naparem z rumianku (uwaga – może uczulać) (*Matricaria chamomilla*), świetlika łąkowego (*Euphrasia rostkoviana*), kwiatów chabra bławatka (*Centaurea cyanus)*, liści babki lancetowatej, krwawnika oraz mięty. Zioła te można zmieszać zalać wrzątkiem i parzyć ok. 30 min., wystudzić (najlepiej wkładając naczynie do drugiego z zimna wodą) i robić okłady na oparzone miejsca, kilka razy w ciągu dnia, przez kilka dni. Uśnieży to pieczenie i ból oraz nawilży skórę. Wyższe stopnie oparzeń (np.: II st. to już pojawienie się bąbli surowiczych) wymagają leczenia ambulatoryjnego i silnych środków przeciw zapalnych oraz antybiotyków.

Potentilla erecta L. – Pięciornik kurze ziele

Teraz parę słów o występowaniu wymienionych ziół. Jak widać większość może zostać użyta do leczenia więcej niż jedna przypadłości, a poza tym są dość pospolite i często występujące w Beskidach oraz w naszej strefie klimatycznej, co przesądza o ich zastosowaniu. Gdzie na nie najłatwiej natrafić?

1. Brzoza, jako gatunek pionierski lubi odsłonięte, nieraz suche
i nasłonecznione łąki, tworzy wtedy zagajniki;
2. często też obok rośnie dziurawiec, lebiodka, różne gatunki macierzanki, lubią one południowe stoki, suche;
3. natomiast wierzba, mięta, kozłek, mydlnica, bodziszek cuchnący, żywokost lubią tereny podmokłe, bagniste, podmokłe łąki i pastwiska, z stojąca niską wodą, w rowach i blisko strumieni;
4. pięciornik kurze ziele, borówka lubi glebę kwaśną i będzie sąsiadował z sosną, na wrzosowiskach, torfowiskach
i pastwiskach;
5. malina, jeżyna rosną na glebach żyznych, spotkamy je obficie w lasach bukowych;
6. babka lancetowata, krwawnik, nawłoć osiedlają się na pastwiskach, nieużytkach, miedzach;

7. dąb nie lubi zimna, więc na ogół nie rośnie wyżej niż

550m. p. n. w górach występuje raczej pojedynczo.

Uwaga na koniec. Przedstawione zioła i kuracje mają charakter poglądowy i orientacyjny, są dość bezpieczne i przedawkowanie nie powoduje większych działań niepożądanych, nawet przy zastosowaniu wewnętrznym. Jednakże przy stosowaniu trzeba uwzględnić przyjmowane posiadane przy sobie leki oraz możliwość wystąpienia alergii (np.: paradoks rumianku jest stosowany do redukowania objawów alergicznych, lecz też sam często uczula).Dodatkowo należy uważać przy rozpoznawaniu poszczególnych ziół (tutaj podane jedne z najpospoliciej występujących i dość charakterystycznych do rozpoznania), bowiem pomyłka może wywołać niekorzystne skutki. Przed wyruszeniem polecam też sięgnąć po przewodniki bądź klucze do rozpoznawania roślin.

Saponaria officinalis L. – Mydlnica lekarska

Zauważono na półce

Andrzej Potocki, Przystanek Bieszczady, Rzeszów 2008, Wydawnictwo LIBRA, ss. 207

Kolejna książka w dorobku znanego rzeszowskiego dziennikarza. Tym razem autor sięgnął m.in. po tematy już poruszane przez siebie w innych tekstach, poszerzając je nieco, jak miało to miejsce z rozdziałem pt. *Z archiwum Chrynia*, którego pierwowzór ukazał się kilka lat temu w „Połoninach". Wszystkim czytelnikom polecam również rozdziały *Tragedia Terki* i *Zbrodnia NKWD w Lesku*. Wart uwagi jest także najdłuższy rozdział tej publikacji – *Odyseja po bieszczadzku*, oparta na wspomnieniach Jerzego Makara, Polaka z Hulskiego. Mocnym punktem tej publikacji autora *Bieszczadzkich losów* jest reportaż opisujący katastrofę helikoptera pod Cisną w 1991, w której zginęło dziesięć osób.

Pozostałe rozdziały to w większości literacko przetworzone wspomnienia autora, które wg mnie stanowią słabszą część książki, choć niektóre z nich stanowią ciekawy obraz Bieszczadów z czasów PRL.

Henryk Nicpoń, Za wrotami cudów. Opowieści bieszczadzkie, Rzeszów 2007

W ostatnich latach ukazały się liczne zbiory „bieszczadzkich opowieści". Począwszy od pierwszego wydania „księgi legend i opowieści bieszczadzkich" Andrzeja Potockiego, po książkę autorstwa barmana z ciśniańskiej „Siekierezady" mamy wiele publikacji traktujących o Bieszczadach, jako miejscu owianym legendami i przez ludzi – legendy zamieszkanym. Nie ukrywam, że takie potraktowanie tematu zaczyna męczyć mnie jako konsumenta literatury „bieszczadzkiej". Dlatego tez, kiedy zobaczyłem książkę Henryka Nicponia, podszedłem do niej z dużą rezerwą. Byłem przekonany, że nie znajdę tam nic ciekawego ponad powtarzanie tych samych opowieści odgrzewanych w coraz starszym sosie. Jednakże ta, niewielkich rozmiarów książeczka, bardzo mile mnie zaskoczyła.

Autor pochodzi ze Stalowej Woli, ukończył Wydział Prawa i Administracji na ówczesnej rzeszowskiej filii UMCS. Po studiach rozpoczął pracę w „Dzienniku Polskim". Następnie, już po 1989 r., pracował m.in. w „Nowinach", „Gazecie Wyborczej", „Sztandarze Młodych", „Kurierze

Polskim, „Super Nowościach" i Radiu Rzeszów. Jako dziennikarz często pisał reportaże o Bieszczadach na zamówienie różnych redakcji.

„Za wrotami cudów" zawiera 10 reportaży autorstwa Henryka Nicponia. Wśród nich warto zwrócić uwagę przede wszystkim na następujące:

„Korespondencja z otwarcia kolejki" – relacja z ponownego otwarcia Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej w dni 4 lipca 1997 r.

„Komunizacja i dekomunizacja Jabłonek" – garść informacji na temat Jabłonek, jako miejsca pamięci komunistycznego bohatera, gen. Świerczewskiego. Autor zajął się również sprawą otwarcia, funkcjonowania i zamknięcia prywatnego muzeum przyrodniczego, otwartego w dawnym „domu pamięci".

„O diabłach aniołach i ikonach". Tekst w klimacie „Zakapiorskich Bieszczadów" Andrzeja Potockiego opowiadający o dość głośnym artyście z Hoczwi – Zdzisławie Pękalskim

„Ikonopisanie" – tekst o Halinie Kroguleckiej z Rzepedzi, która wygrała konkurs na namalowanie ikonostasu do cerkwi w Wysoczanach.

„Za wrotami cudów" nie jest może pozycją obowiązkową do biblioteczki każdego miłośnika Bieszczadów, ale z pewnością warto ją przeczytać

ŁB

Relacje z wypraw i wycieczek

Katarzyna Jagiełło
Łukasz Bajda

Rumunia AD 2009

W skrócie

Parę słów o naszej zeszłorocznej wycieczce do Rumunii... W sumie nie było nas w domach przez trzy tygodnie. Mieliśmy wiele obaw, co do tego wyjazdu – że może coś nam się stać złego, że ktoś nas okradnie, że gdzieś się zgubimy, że któreś z nas będzie miało wypadek w górach... A tu wyszła nam zgrabna, sprawna wycieczka, praktycznie bez większych przykrych niespodzianek. Wydaje się nawet, że w wielu sytuacjach mieliśmy sporo szczęścia.

Tak pokrótce: jechaliśmy przez Ukrainę - droga okrężna, ale jednak tańsza. Jeden dzień przeznaczyliśmy na błąkanie się po Bukowinie – nocowaliśmy tu w polskiej wiosce Plesza, niedaleko miejscowowści Gura Humorului i jednego z malowanych klasztorów. Spędziliśmy pięć dni w Górach Rodniańskich, następnie dzień zwiedzaliśmy Sighişoarę w Transylwanii, gdzie urodził się historyczny Drakula. Kolejny tydzień spędziliśmy w najwyższym masywie górskim Rumunii – Górach Fogaraskich i później jeszcze dwa dni w drugim transylwańskim mieście Sibiu. Zatem było i aktywnie, i wypoczynkowo. Całkiem nieźle nam to wyszło, po kilku dniach wędrówki z ciężkimi plecakami odpoczywaliśmy w ciekawych miastach. Inne budownictwo, trochę inny klimat (baaaardzo długie dni), piękne krajobrazy….

Bukowina i Góry Rodniańskie

Granicę ukraińsko-rumuńską przekro-czyliśmy przemytniczym busem, do którego wsiedliśmy w ukraińskich Czerniowcach. Sympatyczny pan, o aparycji żołnierza mafii, zawiózł nas za 10 dolarów od osoby do Suczawy. Miasto to sprawia raczej przygnębiające wrażenie i ani zaczynając, ani kończąc naszą wycieczkę nie zwiedzaliśmy tutejszych zabytków, które nikną w

socjalistycznym budownictwie z czasów Geniusza Karpat (Nicolae Ceauşescu). Pojachaliśmy za to na Bukowinę, żeby zobaczyć chociaż jeden ze słynnych malowanych klasztorów. Tam też odwiedziliśmy polską wioskę - Pleszę. Na Bukowinie do dziś żyją potomkowie polskich osadników, którzy przybyli tutaj na przełomie XVIII i XIX w. Ciekawie było usłyszeć polską mowę w Rumunii. Mieliśmy również spotkanie z polską krową, która próbowała pożreć nasz namiot.

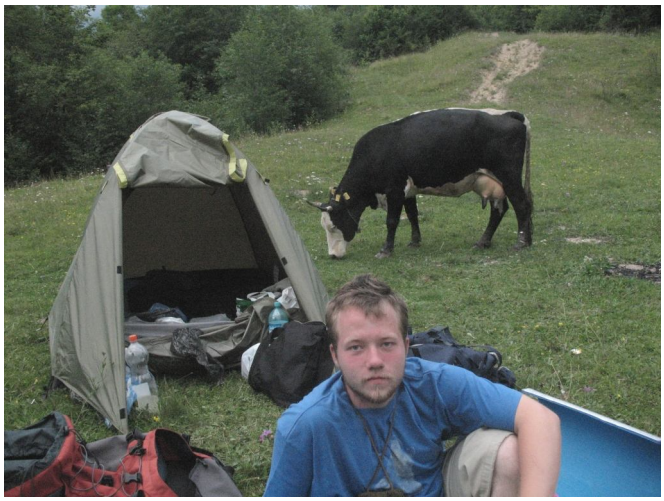

Wypasione „pole namiotowe" w polskiej wiosce Plesza na Bukowinie

Ten krótki wypad na Bukowinę został okupiony obawą, czy będziemy mieli odpowiednie połączenia komunikacyjne. Zanim dotarliśmy na przełęcz pomiędzy Górami Rodniańskimi i Suchardami, przesiadaliśmy się kilka razy – to jakiś bus, to autobus, a to wszystko z tymi wielkimi plecakami. Była to zatem mało komfortowa część wycieczki. Bukowinę i sąsiedni Maramuresz chyba najlepiej zwiedzać przy pomocy prywatnego samochodu.

Wędrując po pasmach górskich, w których byliśmy, należy w pierwszej kolejności zapomnieć o jakichkolwiek schroniskach, zwłaszcza w Górach Rodniańskich, które w przeciwieństwie do Fogaraszy są objęte ochroną. Należy także uzbroić się w furę pysznego i lekkiego jedzonka ☺. My trochę niewłaściwie podeszliśmy do przygotowania zapasów spożywczych i w Rodnianach musieliśmy schodzić z głównego pasma do miejscowości Statiunea Borsa, żeby zrobić zakupy. Tam też zanocowaliśmy - tanio i wygodnie za 50 lei za nas dwoje (1 zł to praktycznie 1 leja, więc nie trzeba przeliczać).

Większość nocy spędziliśmy oczywiście w namiocie. Jest to ogromną wygoda, zwłaszcza, że w rumuńskich górach można się rozkładać tam, gdzie się tylko zamarzy, uważać jedynie trzeba na psy pasterskie. W Rodniańskich niby nie powinno się biwakować, gdzie tylko dusza zapragnie, bo to jednak park narodowy, ale i tak podobno nikt tam turystów nie pilnuje, a przynajmniej nas nie kontrolowano. Dziko jest i cudownie!

Spotkanie z psami pasterskimi to nie przelewki. My byliśmy nieuzbrojeni, ale podobno można kupić jakiś gaz obronny specjalnie na psy, a niektórzy zabierają ze sobą także petardy. Osobiście mieliśmy jedno bardzo nieprzyjemne spotkanie z watahą psów pasterskich. W pierwszy dzień naszej wędrówki usłyszeliśmy pierwszy raz delikatny dźwięk dzwoneczków i przed nami na ścieżkę wyszło stado kóz. Co robi wtedy Kasia? Wyjmuje aparat i zadowolona cyka zdjęcia, bo jakże by inaczej. A tu już przyleciał jeden pies, poszczekał, ale poszedł. Niestety na wezwanie tego pierwszego przybiegły pozostałe psy – było ich w sumie około dziesięciu, okrążyły nas i okropnie ujadały. Trzęśliśmy się ze strachu – dosłownie! Jeszcze chwila i może by się na nas rzuciły, bo były coraz bardziej agresywne i zbliżały się coraz bardziej. Na szczęście przybiegł pasterz stada, który swoją drogą sam był przerażony, ale udało mu się rozgonić towarzystwo. Po tym wydarzeniu, kiedy tylko słyszeliśmy dźwięk dzwoneczków, robiliśmy szybki rekonesans – z której strony dochodzi dźwięk i jak blisko może znajdować się stado. Bo stad owiec i kóz (kóz jest mniej) pałęta się po rumuńskich górach sporo, co jest oczywiście bardzo urokliwe, ale spotkania z nimi na szlakach nie należą do przyjemnych. Czasem udawało nam się w miarę sprawnie obchodzić te stada i wtedy nawet psy pasterskie się nie buntowały. Spotkaliśmy się z opinią, że w tych częściej uczęszczanych pasmach psy nie są zbyt agresywne, ale w tych mniej popularnych zdarzają się pogryzienia turystów przez psy. W każdym razie trzeba uważać.

Burek biegnie na powitanie

Generalnie góry, po których trochę połaziliśmy nie były zatłoczone – zwłaszcza

Rodniańskie. W Fogaraskich, ze względu na wysokość i przebieg trasy Transfogaraskiej zbudowanej za czasów Ceauşescu, nie sposób nie spotkać turystów, ale wydaje się, że gdyby Fogarasze leżały w Polsce, tych turystów byłoby zatrzęsienie, a w Rumunii jest całkiem spokojnie pod tym względem.

Jeśli chodzi o przygotowanie prze-wodnicko – kartograficzne to zabraliśmy ze sobą mapę drogową Rumunii, przewodnik Bezdroży po tym kraju i przewodnik po Fogaraszach tego samego wydawnictwa. W Górach Rodniańskich mieliśmy także mapę, zakupioną jeszcze w Polsce i kierowaliśmy się ze wschodu na zachód, czyli od strony pasma Suchardów, do najwyższego szczytu – Pietrosa (2303), który swoją drogą jest bardzo oszpecony paskudnym schronem i resztkami stacji meteorologicznej. Tą mapę można kupić w sklepie internetowym wyd. Bezdroża lub w jakiejś większej księgarni turystycznej. Ogólnie ludzie polecają mapy węgierskiego wydawnictwa Dimap. Rumuńskie mapy są gorsze, czego później sami doświadczyliśmy w Górach Fogaraskich.

Z Gór Rodniańskich zeszliśmy do wioski Romuli. Nie mogliśmy się za bardzo dogadać z mieszańcami Romuli, bo pierwotnie zamierzaliśmy tam przenocować, ale oni chcieli zedrzeć z nas nie wiadomo ile kasy za możliwość umycia się i rozłożenie namiotu. Postanowiliśmy opuścić wrogą tubylczą wioskę. Szczęśliwie, gdy brakło nam już nadziei, złapaliśmy tam stopa do miejscowości Salva, skąd mieliśmy pociąg do Sighişoary w Transylwanii. Podwiózł nas tam strasznie zezowaty, ale sympatyczny Rumun.

Zatem pojechaliśmy pociągiem do Sighişoary. Rumuńskie pociągi, podobnie jak sami Rumuni, bardzo pozytywnie nas zaskoczyły. Jechaliśmy głównie pociągami dalekobieżnymi, które w większości miały nowe wagony z sześcioosobowymi przedziałami II klasy.

W Sighişoarze, która jest bardzo urokliwym miasteczkiem, mniej więcej w środku miejscowości znajduje się pole kempingowe Aquarius Camping (nawet z otwartym basenem), za 15 lei za noc. Z czystym sercem polecamy, bo jest tanie i położone blisko starego miasta, które wpisano na listę UNESCO. W przewodniku, który mieliśmy, była mowa o zupełnie innym campingu, wiec warto pamiętać, że jest też camping w środku miasta, a nie tylko na obrzeżach. W Sighişoarze trzeba uważać tylko na to, żeby nie trafić na coroczny festiwal, który się tam odbywa – jest wtedy MASA ludzi. My akurat przyjechaliśmy, kiedy większość uczestników właśnie wyjeżdżała. Oczywiście nie odradzamy uczestnictwa w tej imprezie, jeśli ktoś jest nią zainteresowany, ponieważ jest to swego rodzaju smaczek dla zapaleńców i przyjeżdża tam nawet specjalnie trochę Polaków. Kilka osób, z którymi rozmawialiśmy, wyrażało żal, że nie mieliśmy okazji oglądać tej transylwańskiej imprezy.

W Sighişoarze poszliśmy do polecanej w przewodniku *Restaurant Rustica.* Mieliśmy ochotę popróbować specjałów kuchni rumuńskiej. Zamówiliśmy *ciorbę,* słynną paterską zupę i mamałygę tzw. „słońce na talerzu". To drugie danie, czyli kasza kukurydziana z serem i śmietaną (w wersji podstawowej), nie wyróżniała się niczym szczególnym, natomiast zupa, jakkolwiek smak miała ciekawy, została nam podana chłodna. Mamy nauczkę, żeby na przyszłość bardziej uważać na rekomendacje w przewodnikach odnośnie lokali gastronomicznych ☺. Spotkani już w Fogaraszach Rumuni powiedzieli nam, że na mamałygę trzeba się wybrać do rumuńskiego domu i wówczas można poznać prawdziwy smak miejscowej kuchni.

Dom w którym urodził się książę Drakula

W Sighişoarze, a potem w Sibiu zaskoczyło nas przywiązanie do niemieckiej przeszłości tych miast. W pierwszym z nich oprócz Drakuli urodził się również Herman Julius Oberth (1894 – 1989), który był jednym z konstruktorów niemieckich rakiet V1 i V2, a po II wojnie światowej brał udział w amerykańskim programie lotów kosmicznych. Niemiec ten ma Sighişoarze pomnik i plac swojego imienia.

Jeśli zaś chodzi o pamięć po słynnym Drakuli to stał się on produktem turystycznym, a jego wizerunek zdobi prawie wszystkie pamiątki z Sighişoary i innych transylwańskich miast.

Fogarasze

W Fogarasze podchodziliśmy od strony miasta Făgăraş i kierowaliśmy się na zachód – czyli odwrotnie, niż to czyni większość turystów. Także trasy w przewodniku opisywane były z zachodu na wschód, a nie tak, jak szliśmy. Łukasz kupił przed wyjazdem przewodnik wydawnictwa Bezdroża „Góry Fogaraskie i Iezer". W dalszym ciągu jest to chyba jedyny polski przewodnik ściśle poświęcony tym górom. Został pięknie dopracowany pod względem graficznym i estetycznym – przy opisie każdego odcinka trasy zamieszczona jest mapka oraz profil podłużny, ale niestety mimo tego pozostawia wiele do życzenia… Podczas wędrówki weryfikowaliśmy z rzeczywistością informacje zamieszczone w przewodniku. Wychodziły przy tym dosyć liczne błędy w opisach tras i widać było, ze autor musiał się posiłkować jakimiś niesprawdzonymi przez siebie danymi i z całą pewnością częściowo pisał o miejscach, w których nie był. Nie jest to tylko nasze spostrzeżenie. Na jednym ze szczytów rozmawialiśmy z parką z Polski (szli właśnie zgodnie z przewodnikiem). Także narzekali na to opracowanie, bo przez nie mieli kilka nieprzyjemnych sytuacji. Przede wszystkim klimat opisów w przewodniku przekonuje czytelnika o tym, że Fogarasze są dosyć lekkimi górami podczas wędrówki, że wszędzie można chodzić z ciężkimi plecakami, ewentualnie jest zaznaczone, że wędrówka z takim obciążeniem może być uciążliwa na pewnych odcinkach. Kiedy czytaliśmy co nas czeka danego dnia, nie dało się wyczuć w ogóle powagi sytuacji. A niestety w wielu miejscach wcale tak łatwo i bezpiecznie nie było. Nasza wycieczka i tak przebiegała w bardzo korzystnej aurze – czasem tylko szliśmy we mgle i nie było widoków. Wędrówka po Fogaraszach nie była czysto rekreacyjna, lekka i łatwa. W wielu miejscach, gdzie szlak nie posiadał zabezpieczenia, przydałyby się łańcuchy. Natomiast tam gdzie były (na odcinkach, gdzie bez nich zupełnie nie dałoby się iść), zdarzało się, że miejscami były powyrywane uchwyty ze skał. Jest w Fogaraszach odcinek głównego szlaku, który my sobie darowaliśmy, ze względu na opinię, że jest najtrudniejszy do przejścia. Mieliśmy duże plecaki i wspomnienie Diabelskiego Przejścia (120metrowy skalny komin), gdzie w jednym miejscu pomagali nam się wspinać przechodzący Rumuni, którzy szli na lekko, wiec stwierdziliśmy, że nie warto pakować się tam, gdzie może być jeszcze trudniej przejść z ciążącymi, przeważającymi garbami. Okazało się, że była to słuszna decyzja. Ta para Polaków, którą spotkaliśmy przeszła ten najtrudniejszy odcinek, ale z ich opowieści wynikało, że drugi raz nie poszliby tam z plecakami. Ich wędrówka zamiast 1,5 h, jak podawał przewodnik, trwała ponad 4 h, podczas której musieli spuszczać swoje bagaże pojedynczo. Oczywiście normalne schodzenie z plecakiem w ogóle nie było możliwe. Jeśli zaś chodzi o podawane przez przewodnik i mapę czasy przejść, są one w naszej opinii mocno zaniżone. Przyzwyczailiśmy się, że chodząc po Bieszczadach, można było robić trasy w czasie dużo krótszym niż to podają przewodniki i oznaczenia na tabliczkach. W Rumunii z kolei musieliśmy dawać sobie w zamyśle ładny zapas, aby mieć pewność, że przejdziemy daną trasę w ciągu dnia. Nie jesteśmy wysportowani, ale nie chodziliśmy też jakoś wolno, nawet jak na wędrowanie z plecakami (a tam za bardzo inaczej się nie da, chyba, ze ktoś stacjonuje w drogich schroniskach i robi sobie trasy jednodniowe. Pomimo naszego w miarę przyzwoitego tempa rzadko kiedy mieściliśmy się w przewidywanych czasach.

Typowe oznaczenia szlaków rumuńskich

Jeśli chodzi zaś o oznakowanie szlaków, trzeba przyznać, że jest dosyć kiepskie. Po pierwsze Rumuni stosują kilka znaków graficznych np. pionowy kolorowy pasek z dwoma białymi po obwodzie (tj. takie jak u nas, tylko że pionowe pasy), ale też krzyżyk na białym tle, albo kolorowe kropki z białą obwódką – taka trochę pstrokacizna. Po drugie są miejsca, gdzie brakuje oznaczeń, nawet na głównym szlaku, a czasem są tak zmyte, jakby wypłowiałe, że trzeba się bardzo rozglądać po kamieniach, żeby je dojrzeć. Po trzecie – tabliczki i strzałki są właściwie w stanie zupełnej niezdatności, bo jeśli nie są wygięte lub wywrócone, to sterczą zardzewiałe i absolutnie

nieczytelne. Tak jest w większości przypadków. Dlatego kiedy nadarzyła się okazja, kupiliśmy mapę Fogaraszy, żeby nie ograniczać się tylko do schematycznych mapek w przewodniku. Oczywiście podczas wyjazdu musieliśmy się posiłkować kompasem.

Chodziliśmy średnio 11 h dziennie, wstawaliśmy po 7^{00}, aby wyruszyć koło 9^{00}, a wędrówkę kończyliśmy po 20^{00}. Jak widać, pomimo wczesnych pobudek, bardzo długo gramoliliśmy się z pakowaniem i przygotowaniem śniadania. Na szczęście w Rumunii dzień jest dłuższy niż w Polsce i nie ma takiej obawy, że wędrowca może nagle zaskoczyć ciemna noc. Rumuńscy turyści nie mają takiego „parcia", żeby wstać jak najwcześniej i wyjść w góry i przejść w miarę długą trasę. Kiedy my byliśmy od 1,5 h w trasie, czasem widzieliśmy jak inni dopiero wychylają się ze swoich namiotów. Pewien spotkany przez nas Rumun sam stwierdził, że on i jego rodacy są raczej leniwi i taki widok to nic dziwnego.

Jeszcze może kilka słów o schroniskach. W Fogaraszach jest kilka schronisk, ale nie są zbyt zachęcające. Jedno z nich – Cabana Urlea (cabana = schronisko), które według naszego „wspaniałego" przewodnika posiada niezwykłą, przyjazną, górską atmosferę, jest od kilku lat w fazie zupełniej rozsypki. Zostało opuszczone, bo właściciel umarł, a spadkobiercom nie opłaca się utrzymywać schroniska, więc z roku na rok obiekt niszczeje. Wciąż jednak da się tam przespać na pryczach, ale o niczym innym nie ma co marzyć. Słyszeliśmy również, że czasem obozują tu Cyganie. Inne schronisko – Cabana Podragu minęliśmy czym prędzej, zasypane niemal z każdej strony hałdami śmieci, szpecącymi urokliwą, wypełnioną jeziorkami dolinkę. Nie przeszkadza to jednak wielu turystom rozbijać tam namioty lub nocować w samym schronisku. Ciekawym jest fakt, że zaopatrzenie do Cabana Podragu (prawdopodobnie także do innych) dowozi się na osiołkach.

Witamy w Cabana Podragu!

Podejrzewamy, że problemy z transportem są przyczyną gromadzenia śmieci przy schronisku. Z Cabana Negoiu (od szczytu Negoiu – drugiego co do wysokości w Rumuni) mieliśmy bliższą styczność, gdyż tam uczyniliśmy pożytek z naszego majątku i wykupiliśmy sobie, za 8 lei od głowy, po 8 minut mycia pod prysznicem. Spaliśmy oczywiście i tak w namiocie. Jest jeszcze jedno schronisko godne uwagi, gdyż jest zupełnie odmienne od pozostałych. To Cabana Balea, które właściwie jest bardziej hotelem niż schroniskiem. Położone jest nad jeziorem Balea Lac (lac = jezioro) przy słynnej Szosie Transfogaraskiej. Miejsce „skrzyżowania" głównego szlaku z tą trasą jest oczywiście bardzo skomercjalizowane. Przyjeżdżają tam turyści samochodami, wskakują na jakiś szczyt ponad 2000 m, schodzą i po kilku godzinach jadą z powrotem do domu. Trzeba jednak przyznać, że takie miejsce ma także swój urok ze względu na… stoiska z JEDZENIEM. Och, cóż za przysmaki wchłonęliśmy tam po drodze… Uzupełniliśmy tam też swoje zapasy, bez potrzeby zjeżdżania na sam dół do jakiejś miejscowości. Nie daliśmy rady nosić większej ilości jedzenia, niż na kilka dni (kondycja pozostawiała wiele do życzenia, a apetyt dopisywał…) wiec musieliśmy dokupować je po drodze.

Teraz parę słów z naszego notatnika. Pierwotnie mieliśmy notować tylko wydatki, ale w końcu zaczęliśmy po trochu spisywać to, co nas spotkało, żeby nie zapomnieć.

28 lipca

Cabana Urlea. Przy schronisku, pomimo tego, że nie funkcjonowało, spotkaliśmy sześć osób, m.in. dwóch Rumunów, dosyć pyszałkowatych, którzy razem wędrowali po górach i mieli to samo

imię – Alexandru. Ponadto była tam rumuńska para mieszana i wreszcie najbardziej egzotyczni turyści czyli chłopak i dziewczyna z Izraela. Okazało się, że Żydzi też chodzą po górach! Spotkanie było tym bardziej sympatyczne, że poczęstowano nas ryżem z warzywami i migdałami.

Stado owiec na szlaku

29 lipca

Dziś „aklimatyzowaliśmy się" na wysokości 2000 m. n.p.m. Początkowo droga wiodła stromo pod górę. Upał i brak wiatru nie sprzyjały wędrówce. Czuliśmy się, jak byśmy nigdy wcześniej nie chodzili po górach: zmęczeni, zasapani, bez sił. Należy przy tym wspomnieć, że dzisiejsza noc była bodajże najdłuższa podczas naszego wyjazdu. Spaliśmy około dziesięciu godzin! Mozolnie „wspinaliśmy" się zboczem Varful Mosu. Na niewielkim wypłaszczeniu, gdzie odpoczywaliśmy, zauważyliśmy, że pogoda zaczęła się psuć. W wyższe partie gór zstępowały chmury i wielu szczytów w ogóle nie było już widać. Czekało na nas także stado owiec (znowu!) i co gorsza – psów (znowu !!!). Oczywiście psy i owce nie były pozostawione same sobie. Na łączce odpoczywało sobie dwóch pasterzy i pastereczka. Gdy my walczyliśmy o przeżycie, zachowując zimną krew w obliczu dwóch ujadających psów, oni najspokojniej w świecie rozmawiali sobie (nie wiemy o czym). Dopiero gdy psy, te dwa oszczekujące nas od pewnego czasu, zrobiły się bardziej agresywne i zaczęły się zbliżać, jeden z pasterzy wstał i zaczął krzyczeć. Początkowo zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie wydziera się na nas. Jednakże w tym samym momencie zadowolone psy zostawiły nas w spokoju, a my mogliśmy ruszyć dalej…..

W trakcie naszej wędrówki po Fogaraszach bardzo często spotykaliśmy krzyże. Choć góry te nie są zupełnie bezpieczne, nie można odmówić im piękna. W godzinach popołudniowych wiatr rozgonił gdzieniegdzie chmury, ukazując naszym oczom piękne, strome zbocza, wąskie strumienie, głęboko wcięte doliny. Na trasie spotkaliśmy dziwną grupę znajomych lub rodzinę z Rumunii. Pewien mężczyzna (wyglądał na starego, gdyż miał długą, białą brodę), sprawiający wrażenie przywódcy tej gromady, po tym jak powiedzieliśmy, że jesteśmy Polakami powiedział do nas „Cześć!", a później zaśpiewał nawet „Marsz, marsz Dąbrowski". Byliśmy w szoku…. Brodacz z zaciekawieniem obejrzał nasz przewodnik i wyraził ubolewanie, że w Rumunii nie mają tak dobrych publikacji o górach. Był to na pewno efekt oprawy graficznej przewodnika, który rozczarował nas przy bliższym poznaniu.

30 lipca, czwartek

Dzisiejszy dzień można zaliczyć do wyjątkowo udanych. Wędrówka nie sprawiała kłopotów, szło się znacznie lżej niż jeszcze wczoraj. Nadal plącze się sporo chmur, jednak nie tak zwartych i gęstych. Udało nam się nawet przejść spokojnie obok stada owiec i psów pasterskich, a to nie lada wyczyn. Swoją wędrówkę rozpoczęliśmy od wspięcia się na Galasescu Mic. W końcu natknęliśmy się na pierwszego polskiego turystę – przewodnika SKPG Kraków. Powiedział nam, że kręci się tu bardzo dużo Polaków, czego później sami doświadczyliśmy. Dzisiejszy dzień obfitował w turystów. Szlak nie był tak zatłoczony, jak w polskich górach, ale zdecydowanie spotkaliśmy najwięcej ludzi. Najwyższe szczyty przyciągają…

Najwyższy szczyt Rumunii – Moldoveanu 2545 – zdobyty!

Nam także udało się osiągnąć „Dach Rumunii" – Viştea Mare (2527) i Moldoveanu (2544). Całe szczęście chmury odsłoniły naszym

oczom kilka widoków na południowe grzbiety gór. Naszą wędrówkę zakończyliśmy w dolince odgraniczonej grzbietem od dolinki z schroniskiem Cabana Podragu (w którym podobno jest drogo, a nawet nie ma nic do kupienia). Schronisko otoczone jest przez rozczłonkowane jeziorko, wokół którego rosną góry śmieci. A my za górką też mamy jeziorko i strumyczki tworzące małe kaskady. W tej kotlince obwarowanej grzbietami górskimi, może się wydawać, jakby te skaliste mury miały nas zasypać i pochłonąć (tzn. mi się tak wydaje, Łukasz nie ma takiej fantazji☺). Miejsce naszego noclegu nazwaliśmy „Doliną odchodów". Jeszcze nigdy nie widziałam tylu owczych bobków naraz.

Muszę także wspomnieć o moim marzeniu, które narodziło się już podczas wędrówki w Górach Rodniańskich. Moim powołaniem jest chyba bycie zawodową CIOBANKĄ (pasterką). Wałęsać się po połoninach ze stadem owiec i mieć wszystko inne gdzieś – to jest życie! A gdybym się zmęczyła – wzięłabym jakąś małą owieczkę, zwinęła w kłębek i zasnęła jak na poduszce. Dziś moje marzenie wyewoluowało! Gdy schodziliśmy z przełęczy do schroniska Podragu – minęliśmy trzy osiołki. Jeden z nich szedł chwilę za Łukaszem, a później za mną. Pogłaskałam go, chociaż Łukasz mi zabraniał. Piękne zwierzęta. Od dziś chcę być CIOBANKĄ i mieć własnego osiołka. Och tak!☺

31 lipca, piątek

Dziś rano nawet Łukaszowi nie chciało się wcześnie wstawać, więc zamiast o 7^{00} wygramoliliśmy się ze śpiworów około pół godziny później. Dzień nie zaczął się jednak zbyt dobrze. Nasza fasolowa papka (puree instant) z mielonką nie należała do najsmaczniejszych. Jak dla mnie była okropna, ale Łukasz twierdzi, że lepsze to niż pasztet. Jeszcze gorzej było podczas składania namiotu, kiedy okazało się, że jeden maszt pękł przy metalowej złączce. W każdym razie w końcu jakoś wyruszyliśmy w drogę… Minęliśmy jeszcze dwie dolinki, zanim dotarliśmy z powrotem do głównego szlaku. Zanim to nastąpiło, czekały nas dosyć strome i osuwiskowe zejścia i podejścia. Jednak widoki rekompensowały nam trud wędrówki. Potoczyliśmy się dalej, myślami będąc już przy Trasie Transfogaraskiej, przy sławnym schronisku – hotelu „Cabana Balea" i przy, jak mieliśmy nadzieję, czekających nas tam smakołykach. Baliśmy się, że trzeba będzie zjechać w dół aby zrobić zakupy. Okazało się jednak, że nad jeziorem Balea znajduje się jeszcze jeden hotel, duże parkingi, świadczące o popularności tego miejsca, wjazd do tunelu Szosy Transfogaraskiej, a także liczne budki, nie tyle z pamiątkami, co ze „swojskim" jedzeniem. Wolę nie myśleć ile np. taki ser wędzony kosztuje w normalnym sklepie, bo z pewnością przepłaciliśmy robiąc tam zakupy. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że nie musieliśmy nigdzie szukać noclegu, a potem kombinować, jak wrócić, być może nawet zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy, a już z pewnością dużo czasu.

W sumie nad Balea Lac spędziliśmy 2 godziny, po czym mozolnym krokiem, z pełnymi brzuchami, ruszyliśmy dalej w góry. Dotarliśmy nad jezioro Calțun. Dotychczasowa trasa była urokliwa, choć miejscami trzeba było bardzo uważać. Trudno te góry porównać do Tatr, trudno do Rodniańskich. Są wyjątkowe…

Dręczy mnie jednak jedna ważna kwestia – czy te pyszne kiełbaski, które jedliśmy nad jeziorem Balea były zrobione z tych puszystych owieczek, które mijaliśmy wędrując po rumuńskich górach?

1 sierpnia

Rocznicę wybuchu powstania warszawskiego spędziliśmy na polu namiotowym przy Cabana Negoiu. Było to trzecie schronisko jakie zobaczyliśmy w Rumunii i podobnie jak dwa poprzednie nie zachwyciło nas niczym szczególnym, a nawet przeciwnie. Zeszliśmy tutaj z dwóch powodów. Pierwszym była chęć umycia się w lepszych, niż strumyczkowe, warunkach, a drugim chęć obejścia miejsca na głównym szlaku, o którym słyszeliśmy, że jest dosyć trudne i niebezpieczne. Na miejscu obsługa w schronisku nie była zbyt przyjaźnie nastawiona (poza osiołkiem, który szukał jedzenia w plecakach turystów), a ciepła kąpiel kosztowała 8 lei, za odliczane niemalże z sekundową precyzją 8 minut.

Nie przeszliśmy dziś wiele, ale i tak ten dzień należy uznać za udany. Zdobyliśmy bowiem drugi, pod względem wysokości szczyt Rumunii – Negoiu (2535). Przedtem jednak wdrapaliśmy się Diabelskim Przejściem – Strunga Dracului. Pokonaliśmy 120 m. różnicy wysokości stromego przejścia z licznymi łańcuchami. W jednym miejscu musiał nam jednak pomóc jeden rumuński turysta, aby wwindować nasze plecaki na kolejny stopień skalny. Chyba nie dalibyśmy sami rady… Udało się jednak i najtrudniejszy fragment wędrówki stał się już miłym wspomnieniem.

Strunga Dracului (Diabelskie Przejście) – teraz można udawać, że przejście było takie proste…

Chociaż dzisiejsze przejście nie było zbyt długie, to zejście 1000 m. w dół, do Cabana Negoiu dało nam nieźle w kość. Zmęczenie schodzeniem rekompensowały nam wspaniałe krajobrazy. Potem idąc pasem lasu, czuliśmy się jak w jakimś ogrodzie botanicznym lub parku. Wokół mogliśmy obserwować wielką różnorodność roślin: od paproci i mchów, poprzez trawy i kwiaty do krzewów jałowcowych oraz drzew iglastych. Odnieśliśmy wrażenie jakby piętrzące się nad szlakiem skaliste zbocze zostało przez kogoś starannie zaprojektowane i pielęgnowane. A to czysta natura! Poniżej rozpościerała się płaska dolina z niewielkim, ale wartkim potokiem, utworzonym z kilku strumieni wypływających z górskich stoków. W wielu miejscach znajdowały się niewielkie, ale piękne wodospady. Świetne miejsce na biwak: płasko, zielono, dostatek czystej wody, piękne otoczenie. Warto o tym pamiętać na przyszłość!

2 sierpnia, niedziela

Znowu śmierdzimy. To pierwszy dzień, kiedy zupełnie nie umyliśmy się. Trudno. Wczoraj był ciepły prysznic, dziś nic - zatem średnia w miarę dobra. Dzisiejsza trasa była widokowa i niezbyt trudna, chociaż na drodze do jeziora Avrig było trochę niebezpiecznie. Postraszyło nas deszczem, ale na szczęście wiatr rozgonił chmury. Nocujemy na przełęczy Saua Sarului. Zielono, dosyć płasko, nie ma wiatru. W oddali widok na miejscowości położone u podnóża gór. Chociaż już 21:00, jest tak jasno, że nie potrzebuję latarki, aby pisać w zamkniętym namiocie.

W ciągu dnia wędrówka przebiegała spokojnie. Pierwsze podejście (ok. 800 m), z Cabana Negoiu na Varful Serbota (2331) okazało się całkiem przyjemne. Największa niespodzianka dzisiejszego dnia czekała nas na miejscu noclegu. Przy dwóch rozstawionych namiotach siedziało kilkoro Czechów. Od razu zaprosili nas do siebie, poczęstowali pyszną kiełbasą, swojskim chlebem dwóch oczywiście alkoholem ☺. Wieczór upłynął na zabawnej rozmowie. Ciekawe, która strona więcej zrozumiała. Oprócz rozrywki nasi nowi znajomi zafundowali nam ładny kawałek tej kiełbasy, w zamian za to, że poczęstowaliśmy ich rumuńskim serem. Nie mogę się doczekać śniadania…;)

Dziś opuściliśmy najbardziej skaliste tereny Fogaraszy. Znowu, podobnie jak w Górach Rodniańskich, jesteśmy na połoninach. Minęliśmy dziś co najmniej trzy stada owiec. Psy momentami były bardzo blisko, ale nie szczekały. Jeden to nawet piszczał żałośnie, bo nie potrafił zejść ze skały, na którą się zapędził. Ciekawą rzecz pokazali nam Czesi – mieli mały gaz „antidog". To chyba lepsze niż petardy, w które uzbrojeni byli Polacy z Krakowa, których spotkaliśmy na Negoiu. Nad jeziorem Avrig natknęliśmy się na kolejny polski ślad – wieczko od polskiej sałatki śledziowej.

3 sierpnia, poniedziałek

Siódmy dzień w Górach Fogaraskich. Czekało nas tylko kilkugodzinne zejście głównym szlakiem… I jak to w życiu bywa, na sam koniec nastąpił nagły zwrot akcji. Skończyły nam się znaki na szlaku, więc szliśmy ścieżka, która też w końcu się urwała. Zaczęliśmy więc iść „na orientację", która oczywiście nas zawiodła. Błąkaliśmy się po lesie, popadało trochę i było ślisko. Postanowiliśmy schodzić z grzbietu. Tak naprawdę to zjeżdżaliśmy na nogach lub dupskach. Dotarliśmy do strumyka i ruszyliśmy w dół, wzdłuż koryta. Łukaszowi w końcu odwidziała się ta koncepcja i uznał, że lepiej byłoby sprawdzić, czy może z grzbietu góry coś widać. Poszliśmy więc stromo w górę, a na grzbiecie czekała nas ścieżka, dziwnie oznaczona czerwoną farbą. Nie był to na pewno nasz główny szlak, bo doprowadził nas w inne miejsce niż przewiduje przewodnik i mapa, ale w każdym razie znalezienie wydeptanej ścieżki było dla nas pewną otuchą. Ach, zapomniałam napisać, że od długiego czasu zewsząd straszyły burzowe grzmoty. Kiedy dotarliśmy do tej ścieżki i z nową nadzieją ruszyliśmy grzbietem, zaczęło lać jak z cebra. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun, a Łukaszowi aż butelka z wrażenia z rąk wypadła. Całe szczęście nic złego się nie stało.

Wędrówka w dół była mozolna i bardzo męcząca. Co jakiś czas przewracaliśmy się,

ślizgając się na mokrych liściach. Byliśmy przemoczeni i zmęczeni tą wędrówka. W końcu zeszliśmy z grzbietu i dotarliśmy do torów kolejowych i po 1,5 km. natrafiliśmy na stację Valea Murului. Dziwna będzie ta noc na poczekalni kolejowej, ale kolejarz jest nastawiony do nas bardzo pozytywnie, choć mówi tylko po rumuńsku. Poczęstował nas nawet filiżanką miodu. To kolejne spotkanie, które utwierdziło nas w przekonaniu, że Rumuni są przyjaźnie nastawieni do turystów i bardzo gościnni. Oby więcej było takich spotkań, tylko niekoniecznie na stacjach kolejowych.

Sibiu – oczy miasta

Następnego dnia pojechaliśmy do Sibiu, wynajęliśmy pokój w pensjonacie i błąkaliśmy po starówce. Nazajutrz poszliśmy do skansenu, który leży na obrzeżach miasta. W Muzeum Cywilizacji Ludowej ASTRA, bo tak oficjalnie nazywa się sybiński skansen zgromadzono mnóstwo obiektów prezentujących przede wszystjun wiejską technikę i rzemiosło. Sibiu jest dużym miastem, ale bardzo schludnym i ładnie utrzymanym. Nic dziwnego, że kilka lat temu był Europejską Stolicą Kultury. Trudno wierzyć w szanse Lublina na uzyskanie tego miana w 2016 r., gdy spaceruje się sybińskimi uliczkami. Wieczorem byliśmy już w drodze do Suczawy.

Jechaliśmy znowu wygodnym i nowoczesnym pociągiem. Podczas podróży spotykaliśmy się z ciekawością i życzliwością Rumunów. O ile młodsi mówili po angielsku tak, że my wstydziliśmy się naszych umiejętności językowych, to starsze pokolenie znało jedynie parę rosyjskich słów. To ostatnie nie przeszkadzało jednak niektórym z nich próbować z nami rozmawiać. Podczas godzinnej rozmowy ze starszym panem (on mówił po rumuńsku my po polsku) dowiedzieliśmy się, że wojna to straszna rzecz, że Niemcy zabili w Katyniu i Oświęcimiu mnóstwo Polaków, *Hitler bardzo zły*. Ponadto pan żałował, że Polska i Rumunia nie mają już wspólnej granicy na Dniestrze. Mieliśmy jeszcze drugą taką sytuację, ale wówczas nic nie zrozumieliśmy z dosyć długiej przemowy skądinąd sympatycznego starszego Rumuna. Niektórzy spotkani Rumuni ubolewali, że często są w Europie utożsamiani z Cyganami, którzy stanowią według nich duży problem w ich kraju.

Wydatki, ceny

Przed wyjazdem kupiliśmy euro, a następnie już w Rumunii wymieniliśmy je na leje. W wielu miejscach można płacić w euro, ale to się zupełnie nie opłaca (1 leja = 1zł).

W samej Rumunii byliśmy ponad dwa tygodnie, z czego po górach wędrowaliśmy przez 12 dni. Wydaliśmy około 800 – 850 zł na głowę. Najwięcej kosztowały nas dojazdy, ale były w przyzwoitych cenach, porównywalnych do polskich. Kolejna rzecz to oczywiście jedzenie. W przeliczeniu na złotówki jedzenie jest tam trochę droższe niż w Polsce. Najdroższe są przetwory mleczne i mięso. My wydaliśmy sporo pieniędzy na jedzenie na koniec naszej podróży – w Sibiu, kiedy wiedzieliśmy, że niedługo wracamy i mogliśmy sobie pozwolić na wydanie reszty lei. Jako, że nocowaliśmy zazwyczaj w namiocie nie wydaliśmy za wiele na noclegi. Raz w Stationei Borszy daliśmy 50 lei za nocleg (za nas oboje), a drugi raz w Sibiu 150 lei w pensjonacie Pensiune Casa Baciu. Jest to dosyć sporo, ale jak na tamte warunki, cena i tak była przyzwoita, a poza tym znalezienie czegoś tańszego na żywioł, bez wcześniejszej rezerwacji, byłoby bardzo trudne. Byliśmy w kilku miejscach przyzwoitych i odsyłali nas z kwitkiem. Pensjonat, w którym spaliśmy mieści się pomiędzy stacją kolejową i starówką, więc nam to bardzo pasowało. Do tego jeszcze śniadanie w cenie noclegu – zjedliśmy więc wszystko co tylko nam proponowali ☺. Obsługa była bardzo życzliwa, nie mieliśmy problemów z dogadaniem się, a nawet mogliśmy zostawić tam nasze bagaże na kilka godzin po opuszczeniu pokoju. W tym czasie spacerowaliśmy znowu (na lekko) po sybińskiej starówce i robiliśmy zakupy na podróż powrotną.

Granicę rumuńsko – ukraińską przekroczyliśmy znów z przemytnikiem, kolegą naszego poprzedniego szofera. Na odchodnym Misza wziął od nas równowartość 10 $ w lejach i bardzo przepraszał, że wyjechaliśmy godzinę później niż nam obiecał. W busiku oprócz nas jechały cztery panie wracające z targu w Suczawie. Niezapomniany był widok tych dosyć tęgawych matron popijających kaszankę tonikiem Schweppes ☺

W Czerniowcach przekoczowaliśmy kilka godzin na dworcu, uzupełniając utracone kalorie w pobliskim barku typu fast – food, a następnie pojechaliśmy pociągiem *plackartnym* do Lwowa.

Choć koleje ukraińskie ustępują rumuńskim to jednak z przyjemnością ułożyliśmy się na leżankach i spaliśmy niemal całą drogę około 12 h.

Spacerowaliśmy po Lwowie przez kilka godzin, a potem *marszutką* za 12 hrywien pojechaliśmy na przejście Medyka/Szegini, gdzie po małych zakupach przekroczyliśmy szczęśliwie granicę. Celnicy nie ryzykowali przeszukiwania naszych bagaży, w których udało nam się przemycić wbrew przepisom sanitarnym UE trochę rumuńskiego sera kupionego w Suczawie.

Wiele jest niesprawiedliwych opinii i stereotypów o Rumunii, o których fałszu mogliśmy się naocznie przekonać. Rumunia to bardzo ciekawy kraj, a góry są tam naprawdę piękne. Chcielibyśmy jeszcze wiele razy tam pojechać, dlatego odradzamy wszystkim wyjazd stereotypów rumuńskie góry, aby nadal na szlakach nie było tłoku ☺.

Działalność koła

Rajd Pogórza 19-21 marca 2010

Wezbrane potoki urozmaicały wędrówkę

Dzień 1 -piątek

Tym razem odwiedziliśmy Pogórze Przemyskie. Wyruszyliśmy z Lublina zaraz po 6 rano busem, który zawiózł nas wprost do Przemyśla. Tam złowiliśmy Agę i Jemiołę i po szybkich zakupach w Bili (na 2 dni, dla ponad 20 osób) przeszliśmy na starówkę przemyską. Wśród dwóch prowadzących jedna- Magda pochodzi spod Przemyśla, dzięki czemu bez żadnych problemów poruszaliśmy się po mieście i rozpoznaliśmy prawidłowo wszystkie kościoły ☺ Po krótkiej historii miasta, opowieści o Szwejku i przemyskim niedźwiadku przechodząc obok zamku wdrapaliśmy się na Trzy Krzyże. Tam przyglądaliśmy się szusującym narciarzom (zaraz obok był wyciąg) i podziwialiśmy panoramę Przemyśla. Postępując zgodnie ze wskazówkami przewodnika, który o fortach i bunkrach wie wszystko, znaleźliśmy bunkier z linii Mołotowa. Był on o tyle ciekawy, że po wejściu do środka i uwięzieniu w nim części grupy, Kasia dostała ataku śmiechu, który był ciężki do opanowania i przechodził na innych ☺ Potem mijając dwa kolejne forty: Zniesienie i Kruhel Wielki naszym oczom ukazała się jedna z najstarszych drewnianych cerkwi w Polsce – cerkiew w Kruhelu Wielkim. Następnie kolejny fort, jeden z większych i lepiej zachowanych- Prałkowce. Dalej zmagając się z błotem, resztkami śniegu i silnym wiatrem, przeszliśmy przez wioskę Zalesie do kolejnej miejscowości Rokoszyce a potem już po zmroku do Brylińców- celu naszej piątkowej wędrówki. Tam czekał na nas już Gucio (który przygarnął rajdowiczów zapewniając im dach nad głową). Po szybkich pracach porządkowych (chałupa była w trakcie remontu) i delektowaniu się bardzo smaczną glają przygotowaną przez Dzwonka rozpoczęło się gitarowanie i wieczorny relaks. W między-czasie dotarły jeszcze trzy osoby, dzięki czemu rajd oprócz sympatyków i starszych kursantów składał się z jeszcze większej liczby przewodników. No i tak się relaksowaliśmy aż do trzeciej… ☺

Dzień 2- sobota

Po głośnej pobudce we wczesnych godzinach porannych i ponad godzinnym relaksie spędzonym na oczekiwaniu przed chałupą na Chomika, ruszyliśmy czerwonym szlakiem na południe. Tak dotarliśmy do Kopyśna pokonując po drodze niepozorny Bryliński Potok, który po roztopach stał się trochę bardziej pozorny ☺ Ale to były dopiero początki naszych sobotnich przygód. W Kopyśnie zrobiliśmy odpoczynek pod murowaną cerkiewką i po krótkiej naradzie półprzewodnicko-przewodnickiej skróciliśmy trasę omijając Kopystańkę i Posadę Rybotycką. W zamian za to zyskaliśmy niepowtarzalną możliwość zejścia do Rybotycz drogą, którą płynął Rybotycki Potok. Wymagało to trochę gimnastyki i pomysłowości jak przejść przez wodę żeby nie zmoczyć butów ale daliśmy radę. W Rybotyczach odpoczynek i uzupełnienie zapasów po sklepem i dalej żółtym szlakiem na Kanasin. Na północnych stokach, w lesie było jeszcze trochę śniegu, który utrudniał wspinanie się. Po zdobyciu najwyższej góry na

całym rajdzie zeszliśmy do urokliwej dolinki potoku Turnica. Dym z retort, powoli zachodzące słońce i rozlewiska na łące tworzyły bardzo przyjemny klimat. Następnie obejrzeliśmy drewnianą cerkiew w Leszczynach. Stamtąd było już widać Kalwarię Pacławską, do której zmierzaliśmy. Zamiast iść na około poszliśmy najkrótszą drogą wprost na zabudowania Kalwarii przez potok Sopotnik. Przypuszczaliśmy, że z powodu roztopów może być w nim trochę więcej wody niż zwykle ale że aż tyle to nie ☺ Potoczek ten zamienił się w rwącą górską rzekę. No ale nie mieliśmy za bardzo innego wyjścia niż pokonać tę przeszkodę. Panowie więc ścieli malutkie ale długie drzewko, które miało służyć nam za poręcz i rozpoczęliśmy akcję przeprawy przez potok. Po pierwszej odważnej osobie dowiedzieliśmy się że wody jest do połowy uda a nurt jest całkiem mocny i łatwo może zmyć z nóg. Po kolei przechodziliśmy przez potok trzymając się poręczy, która okazała się bardzo przydatna. Większość osób przechodziła w butach jednak znalazło się parę osób, które buty zdjęły i przeszły w sandałach. Była to dobra decyzja bo następnego dnia buty były suche ale wymagała sporo gimnastyki aby, już po ciemku, buty te z powrotem nałożyć. Sytuację utrudniał brzeg rzeki, który był bardzo stromy i błotnisty. Po pomyślnym pokonaniu przez wszystkich rzeki i z uśmiechami na twarzach po jakże niezapomnianej przygodzie zostało nam tylko wdrapać się na samą Kalwarie, wprost do Domu Pielgrzyma. Tam czekały już na nas pokoje twarzach łóżkami i łazienki z ciepłą wodą pod prysznicem. Po atrakcjach dnia sobotniego nie udało się nam relaksować tak długo jak większość Brylińcach bo większość z nas już przed północą gromadziła siły na dzień następny śpiąc.

Dzień 3- niedziela

Niedziela była dniem relaksacyjno-fortecznym. Po sobotnich „mokrych przygodach" mieliśmy ochotę na spokojny, niedzielny i nie za długi spacerek. Z Kalwarii, już w trochę okrojonym składzie (niektórzy opuścili nas w sobotę wieczorem lub niedzielę rano), zeszliśmy do Nowosiółek Dydyńskich skąd PKSem podjechaliśmy do Witoszyńców i wdrapaliśmy się na pierwszy fort. Był to Fort V Grochowice. Po „krótkiej", ale bardzo ciekawej opowieści Padalca o fortach podążając szlakiem forteczny natknęliśmy się na… kolejny fort. Tym razem był to Fort Va Biadoliny. Zupełnie inny niż poprzedni ale również interesujący. Po kilkudziesięciu minutach marszu naszym oczom ukazał się drogowskaz do kolejnego fortu- Fortu VI Helicha. Mimo że fortów widzieliśmy już dużo z chęcią zwiedziliśmy i ten. Następnie idąc czerwonym szlakiem Przemysko-Sanockim doszliśmy do Przemyśla, ale jeszcze nie do samego centrum. Zatrzymaliśmy się przy wyciągu narciarskim, obok którego znajdował się… tor saneczkowy ☺ Szybka decyzja, kupujemy bilety i wsiadamy do żółtych saneczek, puszczamy hamulce i w dół! Z góry słychać było tylko krzyki. Nie wszyscy mieli tyle odwagi żeby w ogóle nie hamować bo saneczki osiągały znaczące prędkości odczuwalne szczególnie na ostrych zakrętach ale niektórzy się zarzekali, że hamulców nie używali ☺ Był to jedna z ciekawszych atrakcji całego rajdu (tuż obok przekraczania Sopotnika). Potem ostatni już fort- Zniesienie i Kopiec Tatarski z piękną panoramą na Przemyśl i nie tylko. Tak jak planowaliśmy – do miasta zeszliśmy w godzinach obiadowych. Jednak zanim poszliśmy coś zjeść obowiązkowo udaliśmy się na zwiedzenie przynajmniej jednego zabyteku Przemyśla. Była to katedra grekokatolicka, gdzie obejrzeliśmy ikonostas. No i potem obiecany obiad w restauracji przy starówce z najlepszymi kotletami schabowymi, jakie Mikrus i Hania kiedykolwiek jedli. A na deser najlepsze lody w Przemyślu. W drodze do busa zaczął padać deszcz, tak żeby nie było szkoda nam wracać do domu. Po „krótkiej wymianie zdań" z panem kierowcą i panem szefem linii busów zapakowaliśmy się do środka i droga kierunek Lublin.

Katarzyna Korybska

Na torze saneczkowym w Przemyślu

Rajd Nadbuże 10 – 11 IV 2010

Dwudniowy rajd „szlakiem Polski egzotycznej". Oprócz przepięknych, nad-bużańskich krajobrazów udało się m.in. odwiedzić *mizar*, czyli tatarski cmentarz w miejscowości Zastawek, ruiny jednego z fortów twierdzy Brześć, cerkiew neounicką w Kostomłotach, zabytki Kodnia oraz monastyr prawosławny w Jabłecznej.

Grupa rajdowa w Jabłecznej

XLIV Rajd Bieszczady (29/30.04 – 3.05.2010)

Za nami kolejna edycja corocznego rajdu bieszczadzkiego. Mimo małego zainteresowania na zapisach udało się wypełnić trzy trasy. Niestety planowana trasa-namiotowa z powodu braku chętnych została odwołana, a trasa czterodniowa przemierzała Bieszczady w bardzo kameralnym składzie. Oprócz czterech tras otwartych na szlaki wyruszyła również powszechnie znana trasa zamknięta. Na zakończenie zaplanowane we Mchawie przybyło w sumie 115 osób, a pomimo obaw dyrektora gimnazjum, nie zanotowano żadnych szkód w budynku i obejściu szkolnym. Najbardziej wytrwali rajdowicze zakończyli zabawę przy ognisku ok.. 5:30.

Na zakończeniu rajdu odbyło się blachowanie, podczas którego w poczet członków naszego koła przyjęto nowego przewodnika (Kasia Korybska) oraz sympatyka (Artur Kuna).

Zebranie walne

W piątek, 25 czerwca, odbyło się zebranie walne SKPB Lublin. Obecnych było 12 członków Koła. W czasie obrad zostało przyjęte sprawozdanie za ubiegły rok działalności. Wybrano nowy Zarząd oraz Komisję Rewizyjną.

<u>Zarząd:</u>
Prezes – Anka Śliwa
Kierownik Kursu – Michał Żurawski
Rajdy – Kasia Korybska i Krysia Wnuk
Zawadka – Paweł Goleman
Siwerniak – Łukasz Bajda

Komisja Rewizyjna: Łukasz Skoczylas (Skoki), Michał Rzędzian (Panicz), Jarek Staszczuk (Zielony).

Promocję koła, kontakt z mediami itp. znane jako PR zostały wyłączone z zadań Zarządu i przejęte przez Sympatyków (Mikołaj Rogowski, Bartek Dzwonnik - Dzwonek i Artur Kuna - Aragorn)

XLIV Rajd Bieszczady

STUDENCKIE KOŁO PRZEWODNIKÓW BESKIDZKICH
W LUBLINIE

Redakcja „Siwerniaka” jest otwarta na wszelkie propozycje, pochwały i krytykę. Jednocześnie prosimy o kontakt wszystkie osoby zainteresowane zamieszczeniem na naszych łamach swoich tekstów. lukasz.bajda@gmail.com